◆ HELENA BOBIŃSKA, TADEUSZ BREZA, KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI, STANISŁAW JERZY LEC, JERZY ZAGÓRSKI ◆

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 40.000
Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V — Warszawa, dnia 11 lipca 1948 r. — Nr 28 (189)

YURI SUHL I WILLIAM GROPPER — rysunki WILLIAMA GROPPERA

RZECZY NIE DO WIARY

Do Polski przybył William Gropper, znakomity amerykański malarz i karykaturzysta. Światową sławę zyskały mu przede wszystkim karykatury, które są doskonałym komentarzem aktualnych wydarzeń. Celem jego przyjazdu jest poznanie obiektywnej prawdy o Polsce. Planuje dwa albumy z rysunkami w języku polskim i angielskim. Tekst do książki ma opracować poeta amerykański Yuri Suhl, towarzyszący artyście w podróży.

Zamieszczona humoreska jest pierwszą z zamierzonej serii krótkich historyjek o dwu „naiwnych" Amerykanach w Polsce.

Był czas kiedy, aby zostać bohaterem, trzeba było dokonać heroicznego czynu, jak np. przepłynąć ocean na żaglowcu, skoczyć do rzeki Hudson ze szczytu mostu Jerzego Waszyngtona lub zostać dumnym ojcem pięcioraczków. Obecnie

Hearst nad Ameryką

jednak wymagania znacznie się zmieniły. Teraz wystarczy, jeśli oznajmisz swoim przyjaciołom, że zamierzasz odbyć podróż do Polski i natychmiast zostajesz bohaterem. Wiadomość rozchodzi się szybko i twój telefon zaczyna dzwonić:

Hallo! (głosem przerywanym z podniecenia). Słyszałem, że udajesz się w podróż do — — — — —. Czy to prawda?

— Tak, a co?

— Jakto co?! Jakie głupie pytanie. Chyba tak jak i ja czytasz dzienniki. Wiesz, co się dzieje. Co ci zresztą strzeliło do głowy. Jakiemu Amerykaninowi zdrowemu na umyśle chciałoby się teraz wyjeżdżać ze Stanów. I z wszystkich miejsc wybrać właśnie Polskę! (tonem zniżonym i nieco złowróżbnym). Jedziesz za Żelazną Kurtynę zdajesz sobie chyba z tego sprawę. Ludzie znikają tam w ciągu jednej nocy i nikt nie wie gdzie. Gazety wciąż piszą o takich wypadkach. No! widzę, że już powziąłeś decyzję, masz zresztą więcej niż dwadzieścia jeden lat. Ale jako twój przyjaciel czuję się w obowiązku cię ostrzec. Nawiasem mówiąc uważam, że na to trzeba mieć dużo odwagi, ogromnie dużo odwagi.

Krewni mają zupełnie inny pogląd na tę sprawę. Jeżeli chcesz wydać własne życie na pastwę wilków, tym gorzej dla ciebie. Ale gdzie poczucie odpowiedzialności wobec rodziny? Co stanie się z biedną żoną i dziećmi, jeżeli, broń Boże . . . . . eh, szkoda mówić. Jesteś człowiekiem okrutnym i bez serca.

Całun melancholii zawisa nad twoim domem. Członkowie rodziny poruszają się milcząco jak cienie. Rozmowa sprowadza się do monosylab, wypowiadanych zniżonym tonem. Nastrój jest napięty i podminowany. W miarę jak zbliża się data odpłynięcia twego statku, ciotka Roberta nie omieszka wystąpić okolicznościowo ze sceną omdlenia. Zaczynasz rozważać możliwość zrobienia testamentu. Bądź co bądź ma się obowiązki wobec rodziny.

Kiedy masz już paszport w kieszeni a wizę w paszporcie nadzieja rodziny, że z tej podróży będą nici, ostatecznie się rozwiewa. Nawet jeżeli w głębi serca odczuwasz od czasu do czasu drżenie wahania, nie dopuszczasz, aby miało zniszczyć twój entuzjazm do podróży. W oczach przyjaciół twoja opinia bohatera jest już teraz ugruntowana. Należy ją za wszelką cenę utrzymać.

Jesteś w końcowym stadium przedwyjazdowych przygotowań i w głowie huczą ci jak w młynie przeróżne sprawy, jakie masz załatwić. Wskazówki, rady i sugestie zaczynają obficie napływać od najbardziej dalekich przyjaciół i krewnych. Uważają, że powinni zrobić dla ciebie wszystko co tylko jest możliwe, dopóki jesteś jeszcze po tej stronie oceanu.

Najbardziej z twoich przyjaciół dokładny i naukowo podchodzący do rzeczy spędzi dzień lub dwa w czytelni publicznej, przeglądając książki o podróżach po obcych krajach, robiąc notatki, rysując mapy, karty i wykresy, po czym pojawi się w charakterze eksperta od wypraw za Żelazną Kurtynę. Inni, którzy mają wpływowe znajomości w wysoko postawionych politycznych kołach, postarają się o listy określające twój oficjalny staż, aby w ten sposób zapewnić ci osobiste bezpieczeństwo

I kiedy rodzina zajęta jest robieniem zakupów, ty nerwowymi krokami przemierzasz przepełnioną poczekalnię lekarza. Powiedziano ci bowiem, że powietrze w Polsce roi się od bakcyl wszystkich możliwych chorób, a więc przyszedłeś dać się zaszczepić przeciwko: tyfusowi, cholerze, malarii, dyzenterii, colitis i kilku chorobom mniejszego kalibru.

Spis zawierający większą ilość rzeczy, w które należy się zaopatrzyć, na czołowym miejscu jako artykuł pierwszej potrzeby wymienia żywność. Jeżeli inne sprawy dotyczące podróży mogą stanowić przedmiot dyskusji, to co do żywności w Polsce wszyscy są zgodni. — Po prostu wcale jej tam nie ma. Ulice są zasłane trupami ludzi — ofiar głodu. Ci, którzy jeszcze dyszą, to wynędzniałe szkielety. Oczywiście z góry można przypuszczać, że kraj, który nie ma jedzenia, nie potrzebuje nakryć, łyżek, widelców, noży, serwetek i wykałaczek do zębów, nie mówiąc już o obrusach i manierach, jakie są wymagane przy stole. Te zajęły mało miejsca w bagażu, czego nie można powiedzieć o innych rzeczach.

I tak rosną i rosną zakupy na podróż a razem z nimi ilość walizek, co trwa aż do dnia odjazdu. Nie mogąc tchu złapać z pośpiechu przychodzą jeszcze na okręt przyjaciele, by ciebie pożegnać. Nie przychodzą z pustymi rękami. Razem z życzeniami szczęśliwej drogi przynoszą upominki stosowne do okoliczności, jak mydło, papier toaletowy, butelki na gorącą wodę, przybory do szycia, sznurowadła do butów, nożyki do otwierania konserw, guziki, zastrzaski, paski i szelki.

Wreszcie przybyliśmy do Polski, uginając się i jęcząc pod ciężarem zapasów, które starczyłyby dla całego pułku. Pierwszym naszym przystankiem był hotel „Monopol" we Wrocławiu. Byliśmy spragnieni kąpieli, potrzebowaliśmy odpoczynku i potrzebowaliśmy nieco pewności, że jeśli utniemy sobie drzemkę, niewidzialna ręka tajnej policji nie przeniesie nas w nieznane. Lecz najbardziej ze wszystkiego chcieliśmy jeść. Byliśmy wygłodzeni.

W drodze do hotelu zauważyliśmy restaurację. Oczywiście wiedzieliśmy, że jest to miejsce, dokąd ludzie przychodzą tylko po reminiscencje posiłku. Zdecydowaliśmy się jednak zejść na dół, aby dokonać przynajmniej czynności pójścia do restauracji, zanim rozpakujemy bagaże. Kelner wręczył nam menu w języku polskim; była to dla nas greka. Skądinąd wiedzieliśmy zresztą, że to wszystko było na niby, a więc pokazaliśmy mu na migi, aby przyniósł wszystko co jest. Rzucił pełne konsternacji spojrzenie w naszym kierunku i zniknął. Wkrótce pojawił się znowu a za nim z pół tuzina chłopców z obładowanymi tacami. Postawili jedzenie przed nami i odeszli. Długą chwilę gapiliśmy się na siebie. — Bill, czy zrozumiałeś coś z tego? — wyjąkałem nareszcie.

— Czy zrozumiałem? — kiwnął głową znacząco. — Myślę, że to jest po prostu propaganda.

Suhl i Gropper
przełożyła: **Anna Bartling**

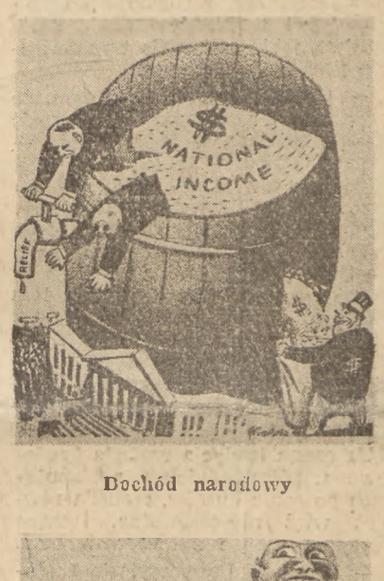

Dochód narodowy

Monopole

Świat, w którym żyjemy

Bisness

LEON KRUCZKOWSKI

Odkrywamy Hilmara Wulffa

O Hilmarze Wulffie pierwsze słowo pada już w szwedzkim Malmö, w hotelu, z ust attaché prasowego poselstwa naszego w Kopenhadze, p. Janusza Nizińskiego. Na hotelowym stoliku leży przede mną książka, na okładce koloru jesiennego nieba białe litery tytułu: „Vejen til Livet".

„Droga do życia", tłumaczy p. Janusz i dodaje: — Siedem przekładów na języki obce nagroda literacka wielkiego dziennika kopenhaskiego „Politiken"...

Dowiaduję się jeszcze, że książka leżąca przede mną jest pierwszym tomem trylogii. Tom drugi ukaże się pod jesień. Tom trzeci — rodzi się dopiero, jest na warsztacie pisarza. Całość w nakładzie Gyldendala, największej duńskiej firmy wydawniczej.

Tak wygląda, w kilku suchych informacjach, dotychczasowa „kariera" dzieła Hilmara Wulffa. A sama książka? A sam autor?

„Vejen til Livet" jest powieścią o robotnikach polskich w Danii. Robotnicy polscy w Danii? Co to za ludzie, kiedy i skąd się tam wzięli?

Około 14-tysięczna dzisiaj (wraz z rodzinami) rzesza **starej** „Polonii duńskiej powstała w latach pierwszej wojny światowej. Neutralna wówczas Dania, odcięta łodziami podwodnymi od stosunków handlowych z Anglią, produkowała swoje masło i swój cukier głównie dla tzw. państw centralnych. Do uprawy wielkich obszarów buraczanych potrzeba było mnóstwa tanich rąk roboczych. Niemieccy czy austriaccy agenci werbunkowi rekrutowali dla duńskich farmerów bezrolną młodzież chłopską z ziem polskich głównie z terenu ówczesnej „Galicji". Uciążliwe „hakanie" (okopywanie) buraków miało stać się na długie lata głównym celem egzystencji tych ludzi — także wówczas, gdy czas wojennej koniunktury ustąpił okresowi stabilizacji pokojowej. Po r. 1918 część z nich powędrowała za lepszymi zarobkami i mniej prymitywną pracą do Belgii i Francji, do górnictwa i przemysłu, większość została w Danii na stałe; polski robotnik rolny zdobył sobie tam wielkie uznanie: robił za dwóch, a w wymaganiach był raczej skromniejszy niż inni.

Hilmar Wulff jako młody chłopak również „hakował" czy „hakał" buraki. Wówczas to, na buraczanych polach, zadzierzgnęły się węzły jego przyjaźni z Polakami, przyjaźni, która przetrwała do dzisiaj i której ujściem literackim jest właśnie powieść „Vejen til Livet".

O tym wszystkim, jak wspomniałem, dowiaduję się już w Malmö, które jest — w drodze z Polski — jakby przedpokojem Kopenhagi. I to wszystko brzmi dostatecznie interesująco, aby delegatowi na XX Kongres PEN-Clubów przesłonić trochę główny cel podróży, aby w najwyższym stopniu zaciekawić osobą Hilmara Wulffa. Cóż dopiero kiedy wychodzą na jaw dalsze szczegóły jego biografii. Okazuje się, że pisarz Wulff jest równocześnie rybakiem! Nie jakimś sobie niedzielnym, week-endowym wędkarzem-amatorem w stylu angielskim, ale zwyczajnym, z ojca rybaka, poławaczem dorsza czy flądry, czy ja wiem zresztą co oni tam łowią — na wodach Wielkiego i Małego Bełtu. Książki pisuje zimą, lato spędza na kutrach, przy sieciach. Jest w tym połączeniu dwóch rzemiosł czy dwóch sztuk: pisarskiej i rybackiej coś bardzo skandynawskiego, coś, co każe przypomnieć Ibsena - aptekarza, Martina Andersena Nexö — robotnika portowego.

Hilmar Wulff

Właśnie od Martina Andersena Nexö, największego dziś pisarza Danii, uzyskuję — już w Kopenhadze — garść dalszych szczegółów o Hilmarze Wulffie. Rzeźko starzec o mocnej, charakterystycznej twarzy wielkich Skandynawów z końca XIX wieku mówi bardzo przychylnie o młodszym od niego o połowę autorze „Vejen til Livet". Nexö jest komunistą. Hilmar Wulff do partii formalnie nie należy, ale z postawy ideologicznej jest jej bliski.

Słowem, wszystko przemawia za tym, że trzeba koniecznie poznać dziwnego pisarza - rybaka, który napisał powieść o robotnikach polskich w Danii. Okoliczności układają się pomyślnie, bo i tak w niedzielę po zamknięciu kongresu PEN - Clubów, mamy wyjechać na wyspę Lolland, do Nakskov, 200 kilometrów od Kopenhagi, dla zetknięcia się z „Polonią" duńską w jej głównym ośrodku. W łodzi rybacka Osnevig, w której zamieszkuje Hilmar Wulff, leży właśnie parę kilometrów od Nakskov. Zapowiadamy telefonicznie wizytę w domu pisarza — i w pochmurny ranek wyruszamy.

Dania, jak wiadomo składa się z kilku skupionych przy sobie wysp. Przemierzamy więc naprzód z północy na południe, Zelandię, na której leży Kopenhaga, wspaniałym 3,5 kilometrowym mostem przeskakujemy morze i jesteśmy na Lolandii, w płaskiej krainie buraka cukrowego. Na prawo i lewo od szosy rozpościera się żywa mapa, pejzaż nieznanej nam jeszcze powieści Hilmara Wulffa.

W Nakskov, przypominającym nasze miasteczka dolnośląskie, wpadamy do „Domu Polskiego". Okazuje się, że do zebrania, na którym mamy zetknąć się z rodakami, jest jeszcze godzina czasu. To właśnie ta godzina, która umożliwi nam poznanie Hilmara Wulffa. Do Osnevig wszystkiego dziesięć minut jazdy.

Samochód skręca z asfaltowej szosy w brukowany gościniec wiejski — ku płaskiemu brzegowi zatoki. Jeszcze jeden zakręt i zatrzymujemy się, ze sto metrów od gładkiej linii brzegowej, przed domostwem o ścianach pomalowanych na kolor ciemno - cynobrowy, o dachu pokrytym słomianą strzechą. Przez podwórze idzie ku nam niewielki, szczupły mężczyzna, lekko zgarbiony, ma w sobie coś sękatego, w całej sylwetce, w opaleniźnie twarzy i szyi, w uścisku dłoni. Janusz Niziński przedstawia nas, Iwaszkiewicz uruchomia swoją zupełnie swobodną i płynną duńszczyznę, gospodarz prowadzi do wnętrza. Rodzina: żona, troje dzieci, stary ojciec, dłubiący w sieni przy sieciach. Pani Wulff rozczarowuje się słysząc, że wpadamy tylko na pół godziny, przysposobiła się przecież do przyjęcia nas obiadem, wskazuje niewielki stół zastawiony fajansem i szkłem. Żałujemy bardzo

(Dokończenie na str. 7)

HELENA BOBIŃSKA

»Niech dzieło nasze za nas mówi«

„Zamek Większycki" na Opolszczyźnie nie ma bynajmniej romantycznej przeszłości. Zbudowany przez jakiegoś bankiera niemieckiego — piętrowy, obszerny — posiada kilka tarasów i okrągłą wieżę, której zapewne zawdzięcza swą nazwę. Przed wojną mieścił się tu „Arbeitsdienst" — a w czasie wojny szpital wojskowy.

Kiedy jesienią 1945 r. w Koźlu zawiązało się Towarzystwo Uniwersytetu Ludowego i powstała myśl założenia takiego uniwersytetu w Większycach, zamek był już doszczętnie zniszczony i wyszabrowany. Przez całą zimę trwał remont. W kwietniu 1946 r. zjawili się pierwsi słuchacze. Było ich trzydziestu — w tym połowa dziewcząt. Były to przeważnie dzieci powstańców śląskich albo członków Związku Polaków w Niemczech — młodzież bojowa, zahartowana w walce z niemczyzną. Nie odstraszyły jej krążące wówczas wśród ludności śląskiej, ciemne pogłoski o uniwersytecie większyckim. Pierwszy kurs, który oczyścił z min i drutów kolczastych park większycki i na ziemi, zrytej bombami i okopami, założył ogród warzywny — swoim zachowaniem przełamał nieufność ludności okolicznej.

Na następne kursy garnie się już młodzież z całego powiatu. Na rozpoczęty obecnie kurs piąty zgłosiło się więcej kandydatów, niż uniwersytet mógł przyjąć.

Zgodnie „z tradycją" Uniwersytetu Ludowego w Większycach zakończenie czwartego kursu jest jednocześnie — otwarciem piątego. Nakłada to podwójne ciężary i kłopoty na kierownictwo: nie jest to rzecz łatwa dla internatu gościć podwójną, a w dniu 25-go kwietnia — bodajże jeszcze większą ilość młodzieży. Ale zarówno kierownictwo, jak i słuchacze zdają sobie sprawę, jakie znaczenie wychowawcze posiada ta tradycja.

— Głęboki sens tkwi w tym, że powitalna i pożegnalna uroczystość została ustalona w jednym dniu — mówi Gertruda Widok — gazda (starosta) czwartego kursu. — Bo czym byłby Uniwersytet Ludowy, gdyby każdy kurs szedł swoją drogą? Nie przyszliśmy tutaj nauczyć się tylko języka polskiego — jak to zresztą gazda [1]) już podkreślił, lecz głównym zadaniem Uniwersytetu Ludowego jest społeczne wychowanie... Jest to stary zwyczaj tej placówki, że kurs nie pracuje tylko dla siebie, ale plon pracy przechodzi na następne.

Ta cenna tradycja zrodziła żywiołowe współzawodnictwo następujących po sobie kursów, zrodziła również więź nierozerwalną, łączącą kursy ze sobą i z kierownictwem.

— Praca w Uniwersytecie Ludowym nie kończy się w dniu zakończenia kursu — mówi kierownik, Henryk Hahn. — Kierownictwo stara się, by każdy po ukończeniu go znalazł swoje miejsce w życiu. Skierowuje na dalsze kursy do szkół średnich, pomaga w znalezieniu pracy, nawiązuje kontakt z kierownictwem urzędów, instytucji gospodarczych, samorządowych itd.

Spośród 118 słuchaczy i słuchaczek trzech pierwszych kursów tylko 13 jest chwilowo bez pracy. 12 pracuje jako przedszkolanki, 14 ukończyło szkołę pedagogiczną i pracuje w szkolnictwie — 20 jest w szkole średniej i spółdzielniach, 6 — w samorządach terenowych, 21 — pracownikami urzędów i przedsiębiorstw państwowych, 3 — w szkołach wyższych, 10 — w robotach rolnych, 12 — na własnych gospodarstwach, 7 — pracownikami spółdzielni.

Wymowne są te cyfry. Tym bardziej wymowne, że Uniwersytet Ludowy w Większycach jest uniwersytetem **repolonizacyjnym.** Nie należy o tym zapominać. Słuchacze Uniwersytetu Ludowego, to młodzież śląska (od lat 18 do 23) a więc młodzież, która skończyła niemiecką szkołę powszechną, a czasem i kilka klas niemieckiej szkoły średniej, która często nie umie czytać i pisać po polsku — i nie rozumie języka literackiego. Niezmiernie ciekawe są wypowiedzi słuchaczek i słuchaczy przepisane w „Kronikach" Uniwersytetu z gazetki kursów.

„Z początku naszego kursu — pisze jedna ze słuchaczek — czytanie było dla nas bardzo trudne, nie rozumiałyśmy, cośmy czytały. Ale czytałyśmy na przekór. Pan Wiktor (wychowawca) wytłumaczył nam cudze wyrazy, ale jeszcze nie rozumiałyśmy wszystkiego. Bardzo trudno było dla nas wyszukiwać książek... teraz gorliwie czytamy Mickiewicza, Prusa, Sienkiewicza, które są łatwiejsze do zrozumienia".

„Nieraz mi się zdawało — pisze znowu inna — że moje pragnienia nauczyć się mówić, pisać i czytać są nieosiągalne. Ale ilość błędów powoli się zmniejszała. Poznałam składnię i styl języka polskiego. Poznałam bogactwo, subtelność i piękno języka polskiego. Zapoznałam się z piękną literaturą polską. W lekcjach „Polski współczesnej" zapoznałam się z funkcjonowaniem administracji państwowej i samorządowej. Na wycieczkach do urzędów zwiedzaliśmy wszystkie działy i referaty. To nam się w przyszłości bardzo przyda".

[1]) Każdy kurs posiada obieralnego „gazdę" i „gaździnę"

Dużo miejsca w „Kronikach" Uniwersytetu zajmują wrażenia i przeżycia słuchaczy z wycieczki do Krakowa i Zakopanego. Niemcy uczyli ich, że Polska to kraj biedny, bez kultury. Po raz pierwszy na tej wycieczce zetknęli się z wielką przeszłością Polski, z jej kulturą, z piękną polską ziemią i poczuli się dumni, że są Polakami.

Z Kroniki również dowiadujemy się, jak powstało przedszkole przy Uniwersytecie Ludowym. Było to jeszcze za czasów pierwszego kursu. W parku zamkowym (park jest otwarty dla ludności Większyc) zbierały się dzieci, bawiły i śpiewały niemieckie piosenki. Słuchaczki pierwszego kursu zaczęły każdego piątku urządzać zabawy z tymi dziećmi i uczyć je polskich piosenek ludowych. Dziś do przedszkola przy Uniwersytecie Ludowym uczęszcza około 50 dzieci.

Jest to bezsporna zasługa kierownika Uniwersytetu Ludowego w Większycach, że mając do czynienia z młodzieżą śląską, spragnioną polskości, rozmiłowaną w polskich pieśniach ludowych, nie dopuścił, aby te piosenki i polska kultura ludowa stały się **celem** wychowania. Tak samo, jak celem Uniwersytetu Ludowego nie jest tylko obudzenie świadomości narodowej wśród młodzieży śląskiej.

— Chodzi nam nie tylko o wychowanie bojowego typu Polaka — ale człowieka uspołecznionego, który by sam nakreślał sobie cele służenia społeczeństwu. Nie będziemy pełnymi obywatelami, jeśli nie będziemy tkwili w życiu społecznym i politycznym — powiedział kierownik Hahn na otwarciu piątego kursu, dnia 25 kwietnia rb.

ŚWIĘTO NA ZAMKU WIĘKSZYCKIM

Dzień ten jest jednocześnie dwuletnią rocznicą istnienia Uniwersytetu Ludowego w Większycach. Wielka aula uniwersytetu pełna jest po brzegi. Są tu słuchacze czwartego kursu, którzy jutro już opuszczą ten dom i piątego, wczoraj i przedwczoraj przybyli. Zjechali się na tę uroczystość słuchacze z trzech poprzednich kursów — dziś już nauczyciele, przedszkolanki, studenci wyższych kursów i pracownicy instytucji społecznych.

Ci z pierwszego kursu — „pionierzy", jak ich tu nazywają, spoglądając przez otwarte okna w rozkwitły park, na starannie wygracowane ścieżki, na klomby, gdzie już kwitną bratki i stokrotki — z uśmiechem przypominają sobie jamy i wykroty, jakie w tym parku zastali. A tamci — z drugiego kursu, co marzli tu srodze owej pierwszej zimy, cieszą się, patrząc na kaflowe kominki, w których dziś mieszczą się już kaloryfery, na lśniące podłogi — i na przelewające się falami ozimin pola, te pola, które Uniwersytet Ludowy nabył za 20 tysięcy zł, zarobione [2]) i przekazane uniwersytetowi przez drugi kurs.

„Nikt nie powinien inaczej mówić, jak przez swoje dzieło". Te proste słowa kierownika Hahna, wypisane na wstępie do Kroniki, znajdują dziś wspaniałą ilustrację. Każdy obecny w sali słuchacz wie, co zawdzięcza poprzednim kursom i co zostawił następnym.

— Gdy myśmy w listopadzie 47 roku rozpoczęli naukę, nie mieliśmy tych trosk, czy będzie jutro co na stole. Magazyny były pełne, dzięki ogromnym wysiłkom trzeciego kursu. Nam tylko została młocka do wykonania — mówi gaździna czwartego kursu. Ale zaraz dodaje:

— Chociaż nie mogliśmy pracować na dworzu, oraliśmy na innym polu, na polu społecznym. Wieczory literackie dla wsi, sztuka teatralna „Lompa" były naszymi narzędziami. Nie sialiśmy ziarna, ale polskie słowa i jesteśmy tego pewni, że z nich plon wyrośnie.

— Powiem wam szczerze—zwraca się gaździna do nowych słuchaczy piątego kursu — że praca nie przychodziła nam łatwo i ona was też nie minie. Ale znajduje się tu w Uniwersytecie Ludowym źródło, które nam siły dostarcza. Jest to nasze kierownictwo. Ono daje najlepszy przykład bezustannej pracy dla tej placówki... O ile wam będzie praca łatwiejsza, gdy zaraz na początku wykreślicie dwa zdania, a mianowicie: „ja nie mam czasu" i „to nie idzie". U nas wszystko idzie i czas zawsze mamy, tylko trzeba chcieć.

Młodzież śląska **umie chcieć.** Jest uparta i niezmordowana w zdobywaniu kultury polskiej, której tak długo była pozbawiona. Tym tłumaczą się zdumiewające wyniki pięciomiesięcznych kursów.

— Głęboko przeżyłam pierwsze lekcje — wyznaje jedna ze słuchaczek. — Każde zdanie zostało mi poprawione. Czasem musiałam jedno i to samo słowo trzy i cztery razy powtórzyć... Przez bliższe poznanie się z językiem polskim, znalazłam drogę do życia...

— Literatura polska była mi całkiem obca — mówi o lekcjach literatury Edyta Łatacz — ale po paru wykładach już byłam tak zachwycona, że stała mi się najmilszą lekcją. Otworzył mi się naprawdę nowy świat, do którego nas pan kierownik wprowadził. Postaci Reja, Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Konopnickiej, Sienkiewicza, Reymonta itd., o których nigdy nie słyszałam, zrobiły tak silne wrażenie na mnie, że ich twórczości nigdy nie zapomnę. Inscenizacja fragmentów z najłatwiejszych utworów jest może najlepszym sposobem związania słuchaczy z literaturą. Bo kto z nas zapomni inscenizację ballady Mickiewicza „Świtezianka", albo „Lillę Wenedę" Słowackiego? A ten bajeczny kolorowy obraz Kraszewskiego „Chata za wsią"? Te fragmenty z dzieł Konopnickiej, Prusa, Kruczkowskiego „Kordian i cham?" [3]).

Zatrzymałam się umyślnie na tych dwu wystąpieniach. Mają one swoją wymowę dziś, kiedy się tyle pisze o „stopniowym" zapoznaniu ludu z naszą literaturą (poprzez literaturę drugorzędną do najwyższych jej szczytów itp). Jak widzimy Henryk Hahn zapoznaje chłopską młodzież śląską od razu z **najwyższymi szczytami literatury,** sięga od razu do najczystszych źródeł kultury polskiej, genialnym instynktem pedagoga, pomijając wszelkie ułatwienia i uproszczenia „dla ludu". A rezultaty są zdumiewające. To daje do myślenia.

Widzimy, jakie trudności językowe musi przezwyciężyć kierownictwo uniwersytetu w Większycach, aby dać swym słuchaczom wychowanie ogólne i społeczne. Dodajmy do tego 54 referaty opracowane i wygłoszone przez słuchaczy na tematy najróżnorodniejsze od „szkodliwości alkoholizmu" do planu trzyletniego, od problematów etycznych i społecznych do... Afryki; dodajmy do tego zwiedzanie instytucji państwowych i społecznych w Katowicach i wreszcie roboty polne i ogrodowe... Jakiż to ogrom pracy wychowawczej, który tu spada na barki dwóch wychowawców!

Nie dziwi nas hamowane wzruszenie, nie dziwią akcenty głębokiej wdzięczności w wypowiedziach słuchaczy:

— Poznaliśmy tu radość wspólnej pracy — wyznaje jeden.

— Tu nauczyliśmy się, że największą radością jest praca dla innych — mówi drugi.

A gazda czwartego kursu, Wincenty Lepich, reasumuje zdobycze tych pięciu miesięcy w jednym zdaniu:

— Opuszczając Uniwersytet Ludowy w Większycach czujemy się nie tylko Polakami, ale obywatelami i budowniczymi Polski Ludowej.

„LOMPA"

Wieczorem tego dnia zespół artystyczny czwartego kursu grał sztukę Gołby „Lompa" w Koźlu, w dużej sali Związku Powstańców Śląskich.

Czym objaśnić głębokie wrażenie, jakie wywarła ta sztuka? Dekoracje prymitywne, kostiumy? — Zdaje się jedynym kostiumem był cylinder i płaszcz dr. Regiera i... sutanna ks. Szafranka. Poza tym ubrania śląskich chłopów. Charakteryzacji żadnych. „Lompę" grał gazda czwartego kursu, Wincenty Lepich. Ktoś później zauważył, że „Lompa" był za młody. Być może. Nie miał sztucznych zmarszczek ani siwej brody. A jednak... to był Lompa. Postarzały głęboką troską o los ludu śląskiego, rwący się do czynu i nie poddający się do końca, niezłomny bojownik o sprawę Śląska.

Edyta Łatacz, ta sama, która tak unosiła się nad pięknem literatury polskiej, dała wzruszającą postać Matki. Inni „aktorzy" grali z uczuciem i prostotą. Prawdziwa niepodrobiona mowa Ślązaków brzmiała ze sceny dziwną słodyczą i trafiała do serca.

We Wrocławiu kobiety płakały na tej sztuce, granej przez słuchaczy większyckiego uniwersytetu. A przecież młodzi amatorzy mieli nie lada współzawodników, bo przed nimi grał „Lompę" we Wrocławiu prawdziwy teatr z Adwentowiczem w roli tytułowej! W sumie zespół artystów uniwersytetu większyckiego objechał kilka powiatów i grał „Lompę" 24 razy.

Opowiadano mi, że w Drewnicy repatrianci byli bardzo nią przejęci i żałowali, że wcześnie nie pokazano im tej sztuki, bo dopiero teraz zrozumieli bohaterską walkę Ślązaków o polskość Śląska.

OSTATNI DZIEŃ

W poniedziałek rano ustępujący samorząd czwartego kursu zdaje sprawozdanie ze swojej pracy.

Jest to już dzień powszedni. Goście się już rozjechali. Za godzinę, dwie, rozlecą się słuchacze czwartego kursu jak młody rój pszczół. I właśnie dlatego suche na pozór sprawozdania zespołów kryją w sobie głębokie wzruszenie. Bo oto muszą oddawać w inne ręce sprawy, które w ciągu pięciu miesięcy stały im się najbardziej osobiste i bliskie. Nie mogą przy tym ukryć dumy: zespół biblioteczny, przekazuje nowemu samorządowi 1626 pięknie oprawnych cennych książek w oszklonych szafach, (a było 441). Zespół gospodarczy oddaje dobrze zaopatrzone magazyny, 40 ha zasiewów (100 kwintali kartofli może Uniwersytet Ludowy w tym roku sprzedać). **Tej wiosny Uniwersytet w Większycach staje się samowystarczalny.**

Wreszcie zespół artystyczny przekazuje nowemu samorządowi (wśród hucznych oklasków) **45 tysięcy zł** — czysty dochód z przedstawień „Lompy".

Na co użyć tych 45 tysięcy? Co jest najbardziej potrzebne Uniwersytetowi Ludowemu w tej chwili?

— Kosiarka! — pada głos z sali — Kosiarka zaoszczędzi czasu i pracy słuchaczom!

Jednomyślnym głosowaniem przechodzi wniosek: nabyć kosiarkę i ustanowić jeszcze jedno stypendium dla przyszłych kursów [4]).

Wreszcie moment ostatni — wręczenie świadectw.

Kierownik Hahn zastrzega się, że te „papierki" to nie są żadne dyplomy, że to raczej „na pamiątkę". Ale, jak się dowiedziałam później, te „papierki" uważane są we wszystkich instytucjach za najlepszą rekomendację: świadczą one nie tylko o ukończonym kursie — świadczą o **człowieku z większyckiego uniwersytetu.**

Gaździna, Gertruda Widok, odchodząc ze świadectwem w ręku, zatrzymuje się: „Dopiero teraz, kiedy spojrzałem na ten papier" — Wzruszenie nie daje jej mówić. I uśmiechając się przez łzy, kończy:

„Jak Froncek Smardzewski mówi: „Chociem Lubszę stracił, ale tyś mi się znajdła dzieuszko", tak ja powiem — chociem straciła Większyce, alem znajdła Polskę".

Helena Bobińska

[2]) Drugi kurs zimą 1946 roku w trzaskające mrozy objeżdżał ze szopką krakowską — cały powiat i zarobił 20 tysięcy zł.

[3]) Wszystkie te inscenizacje zespół artystyczny wystawiał na wieczorach świetlicowych dla wsi z wielkim powodzeniem.

[4]) Jedno stypendium ustanowił już drugi kurs.

STANISŁAW KOWALEWSKI

KRAWCE

— Chłopaki idziemy na Gimnastykę — zawołał najstarszy z braci Krawczyków, jedenastoletni Staszek, zwany „Stary".

— Na Gimnastykę eee... chłopaki! — zawrzasnął młodszy Józiek.

Z szopy wylazł Zdzisek. Podciągnął kuse spodenki. Rozejrzał się wokół.

— Na Gimnastykę? — spytał Starego.

— A gdzie?

Nagle z chałupy wyskoczył najmłodszy, pięciolatek, Mundek.

— I ja z wami! I ja z wami! — pisnął.

— Ty?! — z pogardą w głosie zdziwił się Zdzisek.

— Ty się w ogóle nie liczysz.

— Licem sie. Licem sie. — z rozpaczą zawołał Mundek. — Pójdę z wami.

— Spróbuj — nasrożył się Zdzisek. — Taki pętak i na Gimnastykę

— Pójdę z wami. Pójdę. Prawda? — mały jak kot skoczył ku Staszkowi i chwycił go kurczowo za rękaw koszuli.

Stary chwilę stał i patrzył surowo na najmłodszego brata.

— A będziesz się słuchać?

— Będę.

— No, to cię wezmę.

— A widzisz. Weźmie! Weźmie! — wołał z tryumfem Mundek, patrząc na Zdziska.

— Nie wiem po co ze sobą tachać taką grajdę.

— Grajde. Grajde. Przezywa się— zwrócił się płaczliwie Mundek ze skargą do Staszka.

— Daj mu spokój. Pójdzie z nami — zadecydował. Nie było już sprzeciwu. Stary cieszył się u swych młodszych braci bezwzględnym szacunkiem.

— Ale pójdzie z tyłu. Za nami — targował się Zdzisek, widząc, że Mundek nie puszcza rękawa Starego.

— Tak, będzie iść ostatni — orzekł Stary i zwrócił się do Mundka. — Puść.

— Mundek bez słowa puścił rękaw Starego.

— Wezmę słój — zawołał Józiek.

— Tak, można wziąść słój — zezwolił Stary.

Józiek wpadł do izby i ze stosu rupieci wyciągnął słój uwiązany na długim sznurku. Zabierali go ze sobą, by mieć gdzie ładować zdobycz, kijanki i małe rybki.

Wyszli z obejścia, jak zwykle, rzędem. Na czele Stary z długą witką w ręku. Za nim Józiek, ze słojem uwiązanym na sznurku. Potem Zdzisek. Na końcu Mundek. Szli środkiem drogi. Mundek szurał nogami po ziemi podnosząc tumany szarego kurzu.

— Nie kurz! — krzyknął Stary.

— Nie kurz! — powtórzył Józiek.

— Nie kurz! — wrzasnął z furią Zdzisek, obrócił się i dołożył młodszemu bratu kuksańca.

— Bije! — zawołał rozdzierająco Mundek.

— Nie bij — surowo napomniał Stary.

— Nie bij! — powtórzył Józiek.

Zza płotu obok drogi wyjrzała jasno blond, rozkudłana czupryna. Po chwili ukazały się jasne oczy i mały jak kuleczka nos.

— Krawczyki idą! — krzyknął chłopak, zeskakując z płota.

— Patrzcie, Krawce idą.

— Idą Krawce — zawołali dwaj inni, wyglądając przez bramkę.

— Stary na czele.

— Eee, Krawce, gdzie idziecie? — zawołał blondas, Taciak.

— Na Gimnastykę — odpowiedział Stary.

— Będziecie się kąpać? — pytali już chórem.

— Będziemy się kąpać — oświadczył Stary.

— I ryby łowić — dodał Józiek, potrząsając słojem.

— To idę z wami — krzyknął Taciak.

— Idzemy! — krzyknęli dwaj inni.

Dołączyli do czwórki Krawczyków. Stary w dalszym ciągu szedł samotny na czele.

— Stary, a woda już ciepła? — spytał Taciak.

— Zobaczymy.

— Bo ja się w tym roku jeszcze nie kąpałem.

— I my nie — oświadczyli dwaj koledzy Taciaka.

— I my też nie — powiedzieli chórem Krawce.

— A Mundek jeszcze nigdy nie był na wodzie — zawołał Józiek.

— Nigdy?

— Tak

— A nie utopi się?"—

— Ho, ho. Z nami nic mu nie będzie — oświadczył Zdzisek. Wobec obcych bronił honoru rodziny.

Na skraju miasteczka, w pobliżu szkoły, znajdował się dość spory staw zwany „Gimnastyka". Brzegi miał zarośnięte trzciną i szuwarami. Na środku stawu znajdowała się niewielka wysepka, pokryta gęsto krzakami. Niedaleko, na pustym placu, stały przyrządy ćwiczebne miejscowej Straży Pożarnej. Na wielkiej ramie drewnianej wisiały trapezy, drążki do wspinania i drabinki. Stąd też powstała nazwa stawu. Gimnastyka.

Chłopcy zatrzymali się na brzegu. Stary pierwszy zanurzył nogę w wodzie.

— Dobra będzie — stwierdził krótko.

Wtedy wszyscy zaczęli szybko ściągać z siebie koszule i spodenki. Mundek naśladował starszych braci.

— Chłopaki, do wody! — krzyknął Stary i sam jednym susem odbił się od ziemi. Za nim inni. Koło brzegu woda była płytka. Skakali po niej, chlapali się, hałasowali i krzyczeli.

— Zimna — któryś wołał.

— Ciepła — odkrzykiwał inny i uderzał rozpostartą ręką w wodę, zalewając tamtemu oczy.

Mundek stał samotny na brzegu. Trochę drżał, nie wiadomo — z lęku, czy też dlatego, że od wody ciągnął jeszcze wiosenny chłód. Nad cienkimi nóżkami miał spory wypięty brzuszek, świadczący naocznie o tym, że Mundek nie pożegnał się jeszcze z czasami pierwszego dziecięctwa.

— Eee, boi się — zawołał któryś z przyjaciół Taciaka.

— Nie bojem sie — krzyknął piskliwie Mundek. Dotknął nóżką wody. Potem nabrał oddechu, zerwał się i skoczył do wody.

Taciak zamachnął się ręką i chlapnął na Mundka. Mundek zamknął oczy, z twarzy lała mu się strugami woda.

— Daj mu spokój! — groźnie zawołał Stary.

— Daj mu spokój! — zawołali natychmiast dwaj inni bracia.

O, niedobrze było zaczynać z Krawcami. Po tym ostrzeżeniu nikt już nie próbował zaczepiać Mundka.

— Będziesz się uczył pływać — oznajmił Stary. — Kładź się na mojej ręce — zwrócił się do Mundka.

Mundek się cofnął. Widać było na jego twarzyczce wahanie.

— Ja ci mówię, nic się nie bój— powiedział Stary

I Mundek posłuchał. Położył się na wodzie, od spodu podtrzymywany dłonią Starego.

— A teraz pływaj. Po piesku.

— Po piesku! — krzyknęli Józiek i Zdzisek, równocześnie zaczęli pływać, uderzając gwałtownie rękami i nogami o wodę.

— Patrz, tak jak oni — mówił Stary. Mundek spojrzał na braci. Po chwili próbował naśladować ich ruchy, przebierając niezdarnie w wodzie rękami i nogami.

— Tak, taak. Dobra — chwalił Stary.

Nagle wysunął dłoń spod Mundkowego brzucha. Mundek zapadł się w wodę. Po chwili wyciągnęła go z otchłani ręka brata.

Mundek pluł, prychał, przecierał ręką oczy.

— Co, chciałeś się topić? — spytał dobrotliwie Stary.

— Dlaczego wysunąłeś rękę?— zawołał Mundek.

— Bo musisz się nauczyć sam pływać.

I znów ręka Starego dopomagała Mundkowi w utrzymaniu się na powierzchni. Naokoło pływali prychając, krzycząc i śmiejąc się bracia Mundka i chłopcy z paczki Taciaka.

— Patrz, jak pływają — mówi Stary.

— Tylko nie zabieraj ręki. Nie zabieraj ręki... — prosił Mundek.

Ale Stary znów szybko wysunął rękę. Mundek nawet nie zauważył kiedy. Tym razem przez chwilę utrzymywał się na wodzie bez pomocy.

— Widzisz, i sam już pływasz — pochwalił Stary. — Dosyć na dziś. Zmykaj na brzeg — rozkazał.

— Zmykaj na brzeg — powtórzyli inni.

— Chłopaki. Teraz my popływamy! — krzyknął Stary.

— Na kępę? — spytał Taciak.

— Na kępę! — zawołał Stary.

— Na kępę! — wybuchnęli chórem.

Rzucili się do wody. Płynęli, jak który potrafił. Po piesku, na wznak, żabką.

— Fest woda.

— Fest — podawali sobie z ust do ust.

Na kępie hasali w trzcinach, bawili się w chowanego, gonili między krzakami. Któryś znalazł ptasie gniazdo.

— To pewno czajki — stwierdził Stary, rzuciwszy okiem na ptasie jajka.

— Szkoda, że nie mam tutaj słoja — martwił się Józiek. Nagle Zdzisek zawołał.

— Chłopaki, a gdzie Mundek?!

Spojrzeli na brzeg, na którym zostawili Mundka. Nie było go widać.

— Gdzie Mundek — zaniepokoił się Stary.

— Mundek, Mundeeek, Mundeeek! — zaczęli nawoływać jeden przez drugich. Mundka ani śladu.

— Płyniemy do brzegu — zdecydował Stary.

Popłynęli. Na brzegu rozbiegli się, rozglądając dokoła.

— Mundeee.., Mundeeek... Mundeeee...

Zbliżał się wieczór. Woda stawu pożyczała od zachodzącego słońca i chmur płomiennych, krwawych barw.

— Mundeeek...!

— A jeśli się utopił? — nagle powiedział Zdzisek.

— Cicho bądź! — krzyknął Stary, ale i on głos miał niepewny.

— Spróbował pływać i woda go wciągnęła — przypuszczał Taciak.

— Zobaczę — krótko zadecydował Stary. Skoczył do wody i zaczął nurkować. Co pewien czas wynurzał się ociekający wodą, chwytał szeroko otwartymi ustami oddech i znów nurkował.

— Mundeek.., Mundeeek...! — wołali.

Stary, ciężko dysząc, przybył do brzegu.

— Nie znalazłem go.

— Utopił się — powtórzył Tacia .

— On nie taki, żeby się topił — ze złością odpowiedział Stary.

— On nie taki — przyświadczyli Józiek i Zdzisek, ale miny mieli bardzo niepewne.

Nagle dobiegł ich z wysepki przenikliwy pisk. Obrócili się. Znów usłyszeli pisk. Nikogo nie było widać.

— Tam, pod krzakiem! — krzyknął Józek.

— Chłopaki! — ktoś wołał —Chłopaki!

Spośród krzaków wyjrzała naraz czyjaś ciemna głowa.

— Mundek! On! To on! — wszyscy.

Usłyszeli teraz wyraźnie jego cienki głosik, jak biegł poprzez cichy szmer i plusk wody.

— Chlooopaaa...!

— Płyniemy do niego! — rozkazał Stary.

— Skąd się tu wziął? — wydziwiali.

Kiedy znaleźli się na wysepce Stary podbiegł do Mundka.

— Co z tobą? — Ty... ty... — nic więcej nie mógł mówić.

— Tam była łódka, w trzcinach — mały palcem wskazał na drugi brzeg stawu. — I jak byliście tutaj, to chciałem się do was dostać. I wziąłem łódkę. Ale nabrało się wody. I jak tu przyjechałem to was już nie było. I chciałem wrócić, ale była woda w łódce i sam nie mogłem wylać — sumitował się gęsto.

— Ty... ty... — Stary zdzielił go pięścią, ale nie za mocno. — Będziesz ty tak uciekał? — i znów mu dołożył.

Mundek przyjmował ciosy w milczeniu, jak zasłużoną karę.

— Będziesz uciekał, pętaku! — krzyknął Taciak i skoczył ku niemu z pięścią.

— Nie bij! — przeraźliwie wrzasnął Mundek.

— Nie bij go. Nie twój brat — groźnie mruknął Stary.

— Nie bij go! — powtórzyli Józiek i Zdzisek.

Z łódki wylano wodę. Część kompanii udała się do brzegu wpław, część w łódce.

Wracano do domu.

— Mówiłem, że nie utonie. Tacy nie toną — stwierdził z dumą Stary.

— Nie toną — przyświadczyli zgodnie bracia.

Szli gęsiego. Najpierw Stary, potem Józiek ze słojem pełnym kijanek, Zdzisek, a na końcu Mundek z tryumfalną miną.

Zza opłotków wyglądali znajomi chłopcy.

— „Krawce idą... Patrzcie, idą Krawce — mówili między sobą.

Stanisław Kowalewski

TADEUSZ BREZA

DYSPUTY, BALETY, BANKIETY

KONGRES W KOPENHADZE

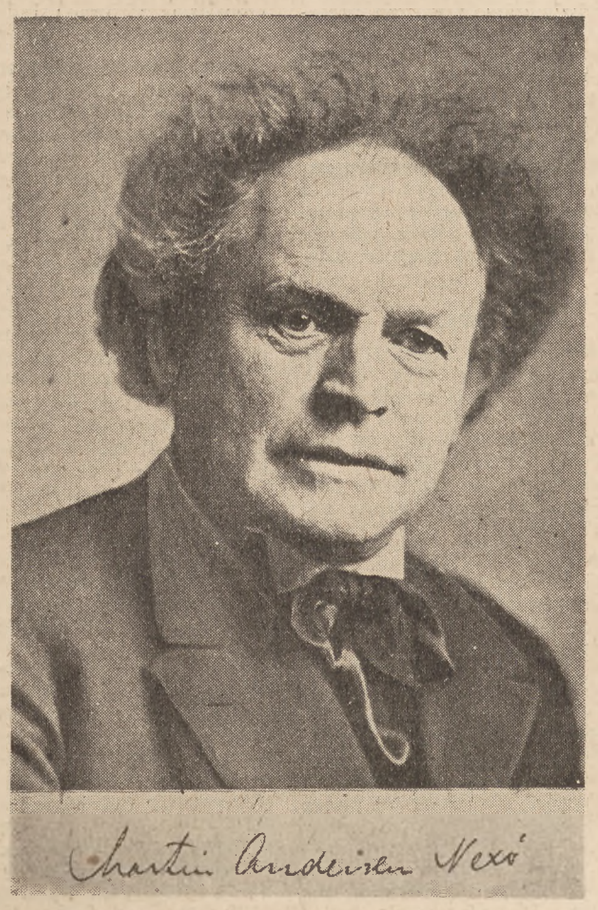

Martin Andersen Nexö

Martin Andersen Nexö, najwybitniejszy współczesny prozaik duński

I

Jean Schlumberger, powieściopisarz starszej daty, pieczołowity stylista, krytyk, zajął się na kongresie PEN-Clubów w Kopenhadze sytuacją bieżącą prozy francuskiej. Zajął się nią przykładowo, aby pod koniec swego referatu „wysunąć, poddać rozwadze i dyskusji" pewne ogólne tezy. Przedstawiciele poszczególnych narodów mieli się na temat tez wypowiedzieć, informacyjnie i teoretycznie, po czym wyznaczony przez Kongres profesor D. Saurat zapowiedział syntezę i wyraził przypuszczenie, że referat, przebieg dyskusji i jej końcowe ujęcie pozwolą nam zorientować się w położeniu i roli prozy współczesnej w skali globowej.

Ale o tym globie prof. Saurat, a tym bardziej J. Schlumberger napomknęli jedynie przez grzeczność. Dla p. Schlumbergera istnieje proza tylko jedna, tylko proza francuska, i tylko jeden kraj nadający się do jej uprawy, Francja. Nawet Anglia, chociaż posiada swoją prozę godną uwagi, jest raczej krajem poezji, nie to co Francja. — „Wkład Francji w ojcowiznę naszej kultury, to jej katedry gotyckie oraz jej proza" — powtarzał za prof. Saurat p. Schlumberger i dodawał od siebie: — „Ta proza, która za czasów Rabelais'go i Montaigne'a znajdowała się jeszcze w powijakach bo nieforemna, dopiero wielka, czysta i rozumna staje się pod piórem Pascala, Woltera, Diderota, a później Flauberta"! — Co to jest proza? — referent sam siebie zapytywał retorycznie. — To sztuka! A co to sztuka? To troska o formę! A dzieło sztuki? To dzieło, które artysta podejmuje z przeważającą myślą o formie. A na czym zasadza się forma w literaturze? Na języku! Na języku z tysiącem językowych form i powiązań, ustalonych raz na zawsze, potwierdzonych powagą lat, nienaruszalnych. Język tak pojęty przekształca się w instrument zdolny do wyrażenia pewnych myśli jak najściślej. A więc rozumowań, a także spostrzeżeń. Taki jest właśnie język prozy francuskiej. Stanów niejasnych, podświadomych, głębinowych, domyślnych, mętnych intuicyjnych, nie-europejskich nie potrafi ująć. Nadaje się natomiast do ścisłego wyrażenia tych myśli, które się do tego nadają"!

A może tylko nadawał? Bo oto (tego nie zamierzał ukrywać przed Kongresem Schlumberger) do prozy francuskiej zaczynają się dobierać pióra, które podważają jej strukturę. Céline, a teraz z kolei Sartre! Niechlujni, bezceremonialni, otwierający na oścież wrota językowi potocznemu. Nie są to jedyni niszczyciele prozy. Następnym wrogiem rzetelnej prozy jest proza, którą się posługują urzędy. Dzisiejsze! Gdyż do końca XIX wieku administracje okazywały troskę o piękny i czysty język w aktach urzędowych. Dopiero od niedawna nauczyły się uciekać do czegoś potwornego, kalekiego i uporczywego, do tak zwanego języka urzędowego czy kancelaryjnego. Pod koniec swego przemówienia Schlumberger wyraził nadzieję, że prozie francuskiej uda się strząsnąć z siebie Célinów, Sartrów i tępojęzycznych kancelaryjnych referentów, oraz wyraził troskę o prozę wszystkich innych krajów. Bo jeżeli we Francji, która jest kołyską i światynią prozy, tak się dzieje, to cóż dopiero gdzie indziej!

Mówcy, którzy zabierali głos po p. J. Schlumbergerze, wyraźnie rozbili się na dwie grupy. Ale nie na jego oponentów i na jego zwolenników. Nic podobnego! Lecz na takich, którzy zwrócili uwagę na to, co mówił, i na takich, którzy cały jego referat puścili mimo uszu, a dorwawszy się do mównicy odczytywali z karteczek mowki przywiezione z kraju. Często jakże dalekiego! Kolejno zabierali głos przedstawiciele Południowej Afryki, Jamajki, Nowej Zelandii, Brazylii, Australii, Indii, ciskając w nas dziesiątkami nazwisk pisarzy, którzy zyskali rozgłos po wojnie. W tych krajach! Z przemówień mogliśmy się dowiedzieć, jak się na przykład w Nowej Zelandii nazywa ichni Brandys czy na Jamajce ichnie „Mury Jerycha"!

Druga grupa opukiwała referat Schlumbergera Anglescy mówcy z pewną rezerwą, polski mówca, Jarosław Iwaszkiewicz, nieco gwałtowniej. Z Anglików ciekawie mówił Desmond Mac Carthy, znakomity krytyk, który zaproponował, by raczej, nie bacząc na to jakie formy gramatyczne respektuje bieżąca proza a jakich nie, zastanowić się nad tym, na jakie nowe pola tematyczne wkracza, a od jakich stroni. Osobiście Mac Carthy za najciekawsze zjawisko, i może najbardziej niepokojące, uważa pasję współczesnych pisarzy do oglądania świata oczami dziecka. — „To fakt w literaturze nowy. Literatura przez wieki służyła do tego by pomagać człowiekowi w oglądaniu świata i wnikaniu w świat. Dopiero za naszych czasów doczekaliśmy się inwazji dziecinnych spojrzeń. Co drugi pisarz czuje się zobowiązany, by nam opowiadać, co widział i co czuł jako dziecko. Rozprawia o tym z lubością i powagą taką, która jeszcze naszych ojców by zirytowała, jeżeliby ich przedtem nie rozśmieszyła" — Po nim przemawał dr Charles Percy Snow, który zainteresował się tylko drobnym fragmentem francuskiego referatu. — „P. Schlumberger w swym przemówieniu podkreślił — rzekł p. Snow — że prozie i powieści należy się tym większa troska, ponieważ zyskuje sobie nowych czytelników, masy, a więc chłopów i robotników. Oczywiście! Słyszy się o tym wiele i zewsząd. O wiele mniej słyszy się natomiast, że zyskując sobie nowe szeregi czytelników, powieść traci innych. Mam na myśli, na przykład, profesorów uniwersytetów. Ci współczesnej, artystycznej beletrystyki nie czytają. Notorycznie! Coś tak ego z nimi zaszło, że przestali, czy też coś takiego zaszło z literaturą, że ona przestała ich pociągać. Należało by sprawę zbadać". — Trzeci Anglik Richard Hughes, autor świetnego i zabawnego, tłumaczonego na język polski „Cyklonu na Jamajce", w pełni zgodził się z p. J. Schlumbergerem, że „pisarze wszystkich krajów powinni przyjść z pomocą macierzystym językom, jeżeli rzeczywiście sprawy wszędzie przedstawiają się tak totalnie jak we Francji i Wielkiej Brytanii, gdzie administracje państwowe są najgroźniejszym wrogiem języka. Nieraz jako urzędnik, i to na wysokim stopniu, w Londynie — mówił — próbowałem urzędowe pisma stylizować po ludzku, w zdaniach i przy pomocy słów, jakie ludzie rozumieją i sami używają. Zawsze wtedy zrywała się burza. Pewnego dnia podczas wojny przyniesiono mi do podpisu akt, do Ministerstwa Lotnictwa, którym miałem zaprotestować przeciw ściąganiu do przemysłu lotniczego za pomocą wyższych płac wielkiej masy sił kobiecych. „Jeżeli tak dalej pójdzie—powiadało moje pismo — przeważająca ilość kobiet w Anglii ulegnie zamrożeniu w waszych warsztatach." — Przechodząc do sedna referatu Schlumbergera, Hughes z pewnym sceptycyzmem odniósł się do diagnozy Francuza. Forma na dziele sztuki — sądził — nie kruszy się sama przez się. Literatura nie choruje na choroby skórne, albo, jeszcze ściślej mówiąc, choroby skórne literatury to zawsze objawy poważniejszych schorzeń wewnętrznych. Zatem, jeżeli w ogóle da się leczyć literaturę, to należy ją leczyć od środka.

Jako ostatni mówca z tej złotej serii przemawiał Iwaszkiewicz. Zaatakował samo pojęcie sztuki u Schlumbergera jako dzieła, które powstaje z „przeważającej troski o formę". „Dzieło sztuki rodzi się — mówił Iwaszkiewicz — z przeważającej troski, by wyrazić jakąś treść, jakąś myśl, jakieś uczucie. Dzieło sztuki rodzi się — mówił dalej — z przeważającej troski artysty o znalezienie w sobie siły, by wyrazić tę treść". — Tezę swą obmurował Iwaszkiewicz przykładami. Sięgnął po nie nie tylko do literatury francuskiej i angielskiej, jak inni, ale i do literatury duńskiej, o której rozwodził się dłużej, wzruszając tym naszych gospodarzy.

Schlumberger nie odpowiadał. Uczynił to za niego Saurat, dopiero pod koniec piątego dnia obrad, kiedyśmy już przepłynęli przez resztę spraw politycznych i przez morze wniosków. Wnioski dotyczyły mnóstwa spraw, wielu różnych ulepszeń w strukturze naszej organizacji, w jej działaniu wnioski takie łączyły się z króciutkimi referatami, przy pomocy których poszczególne centra informowały Kongres o swoim życiu. Iwaszkiewicz referował sprawę naszej sekcji przekładów i mówił o corocznych nagrodach naszego PEN-Clubu, jednej dla tłumacza, który przyswoi swemu krajowi dzieło z polskiej literatury, drugiej dla tłumacza na polski. Holendrzy zgłosili wniosek podobny do naszego proponując system układów z nagrodami bilateralnymi. Omawiano później grupę wniosków dotyczących możliwości zagranicznych wyjazdów pisarzy. PEN-Club chilijski opracował w tej kwestii cały memoriał „clearingowy". Oparty o zasadę wymian, że tak powiem łeb za łeb, miesiąc za miesiąc, za gościa gość, by omnąć w ten sposób trudności dewizowe. Następny dział wniosków dotyczył już nie „bezdewizowego międzynarodowego obrotu pisarzami", ale książkami. Roztrząsano sprawę ceł i opłat manipulacyjnych. Wreszcie sprawę tworzenia przy każdym z krajów centrów penklubowych bibliotek. Z czego? Z książek obcojęzycznych przesyłanych centrom na podstawie jakiejś „ustawy o egzemplarzach obowiązkowych" w skali międzynarodowej. Na koniec przyjęto zaproszenie włoskie, by przyszły Kongres odbył się w Wenecji. Wtedy zgodnie z programem, wstąpił na podium prof. Saurat i spróbował zsyntetyzować całą naszą poprzednią dyskusję literacką. Przemawiał za formą i to jako reprezentant „starej literatury, powołanej do tego, by udzielać wskazówek różnym literaturom młodszym". — Do tych literatur zwracał się, zaklinając je, by nie ufały niczemu innemu, jeno tylko elementom formalnym. — „Mówię to do was — cągnął — jako przedstawiciel literatury Francji czy Anglii, literatury starszej o dwa czy trzy wieki od pozostałych literatur europejskich oraz literatury, której pisarze, ci najznakomitsi i najwybitniejsi, przynoszący jej największą chlubę, tworzyli swoje dzieła już dwa czy trzy wieki temu!"— Na to odparł mu dumnie głos przedstawiciela jednej z tych młodszych literatur: — „Jeśli tak jest rzeczywiście, to z pańskiej matematyki wynika, że współczesny pisarz angielski czy francuski jest tylko spadkobiercą tych wielkich, my zaś może jesteśmy ich rówieśnikami!" — Po czym przyszła kolej na p. Józefa Leftwicha, który poświęcił dłuższe wspomnienie swoim kolegom, poetom, zmarłym i zamordowanym w obozach śmierci. Wiążącą się poniekąd z tą tematyką piękną prelekcję o wolności wspominania, pióra Jana Parandowskiego, nieobecnego na zjeździe, postanowiono zamieścić w międzynarodowym organie PEN-Clubu „The International PEN News". Wreszcie nadszedł czas na uroczyste zamknięcie obrad. Zamknął je głosem serdecznym i prostym Vercors.—„Spotkaliśmy się znów — powiedział — i obyśmy się mogli tak spotykać co roku. Zbliżyliśmy się do siebie znów. Poświęćmy nasze siły w najbliższym roku temu, żebyśmy się w żadnym wypadku od siebie nie oddalili".

II

Po przyjeździe do Kopenhagi dowiedzieliśmy się, że sekretarzem Kongresu z ramienia Danii został p. Axel Dessau. Człowiek, który przez całe życie nie miał nic wspólnego z literaturą, natomiast pozyskał sobie nazwisko jako spec od turystyki. Ale turystyka należy w Danii do przeszłości, do pięknej przedwojennej przeszłości, zatem talenty i doświadczenie p. Dessau drzemią na codzień. Obudził je dopiero nasz trzystoosobowy Kongres. Poznaliśmy ich niezwykłość. P. Dessau czuwał nad nami od rana do wieczora nieprzerwanie. Baczył z dala. Z bliska zaś nad każdym z nas z osobna czuwał przedstawiciel jego sztabu, jedna z dziesięciu jego sekretarek, wielojęzycznych, niezmordowanych, obytych i dających sobie radę z cudzoziemcem z taką sprawnością jak wykwalifikowana bona daje sobie radę z niemowlęciem.

Już wyżej powiedziałem, co wiedziałem, o dyskusjach i zebraniach, zatem w nieswój rząd i brnąłem już po ciemku, kiedy na sekundę przed podniesieniem kurtyny poczułem się oplecony delikatnymi rękami. Po czym w jednej chwili dwie pomocniczki p. Dessau, jak dwa opiekuńcze anioły, przeniosły mnie na właściwe miejsce.

Tymi aniołami byliśmy oczarowani. Rosłymi, wiotkimi wysportowanymi, o wielkich wspaniałych, płowych grzywach Niektóre z aniołów były tak olbrzymie, że zdawały się do pokoju wjeżdżać konno. Prócz nich urzekały nas ogrody kopenhaskie. A zwłaszcza ogródki. Dokonaliśmy kilku wycieczek. Oczywiście do Elsinoru, do zamku Kronborg, zamku „Hamleta", gdzie go się zresztą rok rocznie wystawia latem na podwórcu. Przyjeżdżają na to zespoły z różnych krajów, nie tylko skandynawskich. Polski dotąd nie występował. A tylko pozostający w pewnym związku z Polską John Gielgud, słynny aktor angielski, Polak z pochodzenia, z trupą Anglików. Udając się do Elsinoru raz po raz zwracaliśmy się do szoferów z prośbą, by się na chwilę zatrzymali. Właśnie dla obejrzenia tych ogródków, dla tych małych domków, will jednorodzinnych, z których każda nosiła odrębny charakter, nieomylnie ją różniący, tak jak i przynależny do niej ogródek, każdy nie taki jak jego sąsiad. A tysiące ich! Ten dzień Elsinoru był w ogóle pięknym dniem. Wieczorem tańczył dla nas balet, o którym wspomniałem. Technicznie świetny, pod muzykę Berlioza („Epizod z życia artysty") i Johana Straussa („Modry Dunaj") z przesadą bijący na fabułę, w nie zawsze ładnych dekoracjach. Niemniej, nie ma co, to był balet! Bogaty w talenty! Uderzający niektórymi obrazami! Pomyślałem o naszym. O naszej biednej Terpsychorze, jedynej z muz, której nie dano się pozbierać po wojnie. Zresztą balet—to pasja Duńczyków. Raczono nas nim kilkakrotnie. Tańcami ludowymi i baletem dla mas. Wcale nie gorszym od tego z opery. Oglądaliśmy go w Tivoli, wesołym miasteczku Kopenhagi. Tam na świeżym powietrzu, w wielkiej muszli, na podium, wieczór w wieczór tańczy balet dla wszystkich. Za jedne pół korony, które się płaci przy ogólnym wejściu do parku. I co tańczy? Pełną historię „Cyrulika Sewilskiego" pod muzykę Rossiniego!

Zamek Kronborg w miejscowości Elsinor gdzie się rozgrywa akcja „Hamleta"

John Gielgud (Hamlet) i Laura Covie (Królowa) na podwórcu zamku Kronborg

Druga pasja Duńczyków to złośliwość. A raczej żart, który już przestał być żartem wyłącznie humorystycznym, a jeszcze nie jest złośliwością. To przymrużone oko Duńczyków czuliśmy na sobie nieraz. Przez proste poczucie grzeczności staraliśmy się im odwzajemniać. Kiedy oni mrużyli oko prawe, myśmy mrużyli lewe. I na ich szpileczkę odpowiadaliśmy naszą. Ale ich szpileczki nie kierowały się tylko przeciw nam cudzoziemcom, kongresmanom. Skądże! Szpileczki to ich obyczaj na co dzień. Nawet w ich drukach propagandowych, wydawanych za rządowe pieniądze, pobrzmiewa ich ton charakterystyczny pobłażliwego półuśmiechu, z którym na przykład zapewniają czytelników, że „Dania jest pierwszym królestwem w Europie co do starszeństwa, ale nie pierwszym co do wielkości". Przemowy ich również raz po raz budzą śmiech. Zarówno wtedy, kiedy przemawia nadburmistrz miasta, jak wtedy kiedy przemawia wielki pisarz polarny, słynny Peter Freuchen, z którym źle się pokazywać na ulicy (jeżeli człowiek ma ochotę z nim porozmawiać), bo zaraz otaczają go tłumy. A nawet wtedy kiedy przemawia J. K. M. ks. Wilhelm z królewskiej szwedzkiej rodziny, pisarz, który chociaż nie Duńczyk, zna kraj i jest z nim tak związany, że na terenie Danii wchodzi w jej uszczypliwie zabawny styl. Ale nie on zachwycił nas najlepszą próbką tego stylu. Zachwycił nas nią minister św aty. Wydał piękny, powitalny bankiet w miejscowości Klampenborg nad morzem w świetnej restauracji „Landevejskroen". W przemowie do nas wyraził nam swą radość i swe oszołomienie, że gości tyle gwiazd. Po czym zaś, przymrużywszy oko zacytował nam Goethego: — „Cóż za bogate niebo! Oto gwiazda obok gwiazdy. Któż z nich imionami!". — Ale kiedy w jego imieniu ostatniego dnia żegnał nas P. Freuchen już nie żartował: — „Wśród świateł, które przyświecały ludzkości — mówił — wiele świateł za naszych czasów przygasło. Pośród świateł, które jeszcze pozostały, pozostała sztuka. My pisarze powinniśmy ponad wszystko baczyć, żeby to światło nie przygasło. W przeciwnym razie ziemię może ogarnąć ciemność".

Tadeusz Breza

Primabalerina opery kopenhaskiej Margot Lander i Hans Brenaa, „królewski solista", ćwiczą na wolnym powietrzu

▪ Kronika zagraniczna ▪ Kronika zagraniczna ▪ Kronika zagraniczna ▪ Kro

ANGLIA

PRZEGLĄD PUBLIKACJI Z ZAKRESU HISTORII

Wkrótce po wojnie wydano w Wielkiej Brytanii wiele dzieł z zakresu historii, biografii sławnych ludzi oraz powieści historycznych, które niewątpliwie świadczą o próbie zrozumienia procesów dziejowych i wyciągnięcia z nich pewnych wniosków.

Do najważniejszych pozycji należy popularne opracowanie historii Arnolda Toynbee przez A. E. Somervella pt.: „A Study of History". Dzieło Arnolda Toynbee (który w dalszym ciągu nad nim pracuje) było dotychczas znane jedynie sferom naukowym. Obecne wydanie umożliwiło zapoznanie się z teorią prof. Toynbee również szerszemu ogółowi czytelników. Arnold Toynbee jest twórcą teorii o „wyzwaniu i odpowiedzialności", według której stara się uzasadnić dzieje narodów, a właściwie dzieje poszczególnych cywilizacyj. W ciągu 6.000 lat, które obejmują przestrzeń dostępną dla badań historyków — A. Toynbee wyodrębnia dwadzieścia sześć cywilizacyj... Do żyjących w teraźniejszości zalicza „Western Civilization" (zachodnią cywilizację), którą reprezentuje Europa zachodnia, Brytyjskie Imperium, Stany Zjednoczone i Ameryka Łacińska;— „Orthodoxe Christian Civilization", na którą złożyła się Rosja i Bałkany — „Hindu Civilization" oraz cywilizacja Chin i Japonii, którą nazywa „Far East Civilization".

Większość tych cywilizacyj jest już wyczerpana. Nie znaczy to jednak, aby A. Toynbee solidaryzował się ze Spenglerem i przepowiadał zmierzch cywilizacji zachodniej. O tym, czy jakaś cywilizacja jest zdolna do życia rozstrzyga bowiem dopiero chwila wyzwania. Takim wyzwaniem obecnej doby jest wyzwolenie energii atomowej: „To jest wyzwanie, którego nie możemy uniknąć i los nasz zależy od tego, jaką damy na nie odpowiedź" (A. Toynbee).

Zdaniem Arnolda Toynbee dzieje cywilizacji stanowią zagadnienie moralne, od którego uchylenie się grozi katastrofą. **V. E. Wedgewood** w swoich **„Velvet Studies"** również wyraża pogląd, że obowiązkiem historyka jest ukazanie moralnego aspektu wydarzeń dziejowych. Essaye miss Wedgewood obejmują epokę od czasów św. Augustyna aż po r. 1945. Sześć z nich traktuje o wojnie domowej w Anglii. Ponadto Miss Wedgewood zapowiedziała książkę poświęconą rewolucji angielskiej w XVII wieku. **„Charles and Cromwell"** — Hugh Ross Williamson'a, **„The Spiritual Legacy of Puritanism"** — G. F. Nuttall'a, **„Witches and Roundheads"** R. Trevor Davies'a, **„John Wildman, A. Study of the English Republican Movement in the Seventeenth Century"**—Maurice Ashley'a — wszystkie odnoszą się do tej samej epoki, coraz to z innej strony oświetlonej.

Dzieła z zakresu historii średniowiecznej wskazują również na predylekcję do czasu fermentu i walk ideologicznych. **„The Mediaeval Manichee"** Steven Runciman'a jest obszernym studium traktującym o krwawej krucjacie Innocentego III przeciwko Albigensom, jedynej ze wszystkich, która doprowadziła w zupełności do zamierzonego celu— kompletnego wytępienia Katarów. Ale zdaniem Runcimana sukcesu tej wyprawy nie osiągnięto jedynie środkami militarnymi: „Była to religia pozbawiająca ludzi nadziei, a taka religia nie może się utrzymać przy życiu bez sztucznego podtrzymania. Nadzieja jest koniecznym warunkiem każdej religii. Sama wiara i miłosierdzie nie mogą ludziom wystarczyć".

F. M. Powicke jest autorem dwutomowego dzieła p. t. **„Henry III and the Lord Edward: The Community of the Realm in XIII Century"**. Studium to ukazuje jedną z najważniejszych epok w historii Wielkiej Brytanii: czasy klarowania się poczucia jedności narodowej — zachwianej od najazdu Normanów — kształtowanie się wzajemnych stosunków między królem i społeczeństwem w oparciu o Magna Charta, początki zawodowej, biurokracji, powstanie systemu podatkowego.

„The Congress of Vienna" Harolda Nicholsona nie jest — jak nas autor informuje — książką poświęconą wypadkom militarnym, lecz szczegółowym rozpatrzeniem czynników, które doprawdziły w przeszłości do poróżnienia się państw związanych między sobą tymczasową koalicją. H. Nicholson sugeruje pewną analogię między czasami kongresu wiedeńskiego a współczesnością. Analogię tę podkreśla używając współczesnych terminów „Narody Zjednoczone" (United Nations) i „Wielka Czwórka" (Big Four) w odniesieniu do przeszłości. Polityka Lorda Castlereagh i Kongres Wiedeński nie cieszą się we współczesnej Anglii dobrą opinią. Mr. Nicholson dowodzi jednak, że ta polityka — balance of power (równowagi sił) zabezpieczyła Europę na przeciąg kilkudziesięciu lat przed wojnami.

Dr Schenk w studium **„The Aftermath of the Napoleonic War"** uważa tę samą politykę za wyjątkowo cyniczną: Jedynym motywem polityki balance of power (zarówno Wielkiej Brytanii jak jej aliantów) było zdaniem dr Schenka gwarantowanie bezpieczeństwa klasom posiadającym.

„Roaring Century" znanego publicysty Cruikshanka jest przeglądem wydarzeń między r. 1846 — 1946. Do najważniejszych mr. Cruikshank zalicza wydanie „Origin of Species" Darwina, które podważyło poczucie zupełnej odrębności człowieka w świecie otaczającej go przyrody.

Interesującą pozycję stanowi dzieło A. L. Rowsego „The Use of History". Kluczem do zrozumienia historii są zdaniem A. L. Rowsego wielcy ludzie, którzy ją formują. „Cromwell and Puriten Revolution" (znowu Cromwell!) „Lenin and Russien Revolution", „Bolivar and the Independence of Spanish America" — oto zestawienia niektórych kwestii.

Zainteresowanie dla procesów dziejowych, poszukiwanie nowych teorii, próba wartościowania wypadków historycznych od strony moralnej, wszystko to zdaje się pozostawać w pewnym związku z poczuciem zachwiania się politycznej potęgi Imperium Brytyjskiego. W umysłach Anglików coraz bardziej utwierdza się świadomość istnienia innych — poza Wielką Brytanią — ośrodków dyspozycyjnych — w polityce światowej, a wraz z nią budzi się chęć przeniknięcia ich zamysłów.

„Zrozumienie bardzo odległych epok historycznych daje nam często klucz do zrozumienia polityki obcych mocarstw" pisze Phoebe Pool, z czego należało by wnosić, że obecne studia historyczne w Wielkiej Brytanii mają cel nie naukowy — jak w wieku XIX — ale również polityczny.

Jadwiga Żylińska

FRANCJA

NAGRODA AMBASADORÓW

Do bogatej listy różnorodnych nagród literackich we Francji trzeba w tym sezonie dopisać „nagrodę ambasadorów". Ufundowali ją dyplomaci, pragnąc w ten sposób wyróżnić dzieło najbardziej reprezentatywne dla myśli i kultury francuskiej oraz sposobne do podtrzymania intelektualnego autorytetu Francji za granicą, a wydane w ciągu ostatniego roku. Ponieważ zaś orientacja w powodzi współczesnych wydawnictw jest trudna, ekscelencje wzięły sobie do pomocy sztab krytyków zawodowych. To fachowe prejury eliminacyjne dokonało pierwszej selekcji i przedłożyło właściwemu areopagowi listę dziesięciu dzieł, z której dyplomaci, sami przeważnie ludzie pióra i szczególnie czuli na walory prestiżowe, mieli wyznaczyć utwór, zasługujący na wyróżnienie.

Uwieńczenie nagrodą ambasadorów pośmiertnego dzieła Saint-Exupéry'ego „Citadelle" (Gallimard) jest zwycięstwem dyplomatów europejskich nad południowo-amerykańskimi, którzy głosy swe oddali na „Wybór poezji" Supervielle'a.

Antoni Saint-Exupéry należy do tego typu pisarzy, u których słowo idzie w parze z czynem, którzy życiem usprawiedliwiają swą twórczość. Najlepsze jego utwory były literackim świadectwem rzeczywistych doświadczeń, wyrazem prawdy, przeżytej bezpośrednio. Stoją one na pograniczu śmierci, autor bowiem „Nocnego lotu" dociera do prawdy życiowej i do istoty człowieka w zmaganiu ze śmiercią, w momentach największego niebezpieczeństwa, gdy opuszcza go i zawodzi wszystko, nawet własne ciało. Ciągła walka z żywiołem i ciężka próba pustyni, którą przeszedł ten pisarz, odkryły przed nim zasadnicze wartości człowieka.

„CYTADELA"

Pierwsze strony „Cytadeli" powstały już w roku 1936. Odtąd, przez lat osiem, narastał rękopis, z którym artysta nie rozstawał się nigdy, a na zapytania przyjaciół, kiedy go wyda, odpowiadał uparcie, jakby przeczuwając przyszłość: „Nigdy. Będzie to moje dzieło pośmiertne".

Wydawcy, wierni tekstowi, opublikowali obecnie pełny brulion, zachowując wszystkie powtórzenia i widoczne błędy. Tak z 985 kartek maszynopisu, podzielonych na 219 krótkich rozdziałów, powstała 530 stron licząca książka — dziwna książka, w której obok surowca błyszczy szlachetny kruszec, a wyklarowany już płyn miesza się jeszcze z mętami. Materiału, ledwie rzuconego na papier, nie zdołał już pisarz przerobić artystycznie; pośpieszny szkic nie otrzymał ostatecznego szlifu. Toteż czytelnik ma tu do czynienia nie z dojrzałym owocem, ale z drzewem, rozwijającym się dopiero, rosnącym jeszcze w oczach, bardziej interesującym przez to, co zapowiada, niż przez to, co daje w rzeczywistości.

„Cytadela" jest jakby sumą mądrości życiowej najmłodszego klasyka francuskiego, jest jego testamentem i ostatnim posłaniem do współczesnych. Nie darmo na kilka dni przed śmiercią dręczyła go bolesna troska: „Jeśli powrócę z życiem, stanie przede mną jeden tylko problem: co można, co trzeba powiedzieć ludziom?" — Z kart tej jedynej w swoim rodzaju książki o niejasnej jeszcze konstrukcji przemawia tym razem już nie artysta i narrator, który czarował nas niegdyś, ale moralista, który zwątpiwszy w człowieka swojej epoki, pragnie dlań zbudować Królestwo Boże na pustyni (motyw pustyni to obsesja tego pisarza) — cytadelę o potężnych murach tradycji, zwyczajów i autorytetu, na których załamałyby się ataki piasku i czasu. Ta cytadela to w sensie materialnym porządek narzucony martwej materii przez człowieka-twórcę, w sensie duchowym porządek wprowadzony świadomie do ludzkiego losu, w sensie ustrojowym system patriarchalny pod kierownictwem najlepszego, średniowiecznego-feudalna piramida hierarchii. Twórcą tego ustroju jest berberyjski król pustyni, absolutny władca, najwyższy zwierzchnik religijny i mądry prawodawca, który koordynuje czynności wszystkich swoich poddanych i nadaje im przez to sens. Z jego rozmów z synem, z jego rad, maksym, sentencji, bajek i parabol wyłania się bezkształtna utopia Saint-Exupéry'ego, daleka od naszych nowoczesnych pojęć o demokracji, zbudowana w oderwaniu od socjologii, ekonomii i polityki, wyrywająca człowieka z praw historii. Wznosi ją poeta, pełen pogardy dla rzeczywistości, opartej na maszynizmie i kapitalizmie, oraz — uwielbienia dla rzemiosła i pracy indywidualnej, ostatni krzyżowiec europejski.

Saint-Exupéry, zabłąkany w naszym wieku romantyk, buduje swą nierzeczywistą cytadelę z piasku. Doktryna jego jest nieskrystalizowana, zwłaszcza w swych konsekwencjach społecznych i politycznych. Poszczególne jej części nie przystają do siebie i nie tworzą jednolitego bloku. Czytelnik nie znajduje czasem wyjścia z labiryntu widocznych sprzeczności. Operowanie ulubioną parabolą i symbolem poetyckim oraz uroczysty ton biblijny przywodzi na myśl „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego".

O wielkości dzieła świadczą tylko niektóre rozdziały, pełne natchnienia i poezji, bogate w głębokie myśli o pokoju i wojnie, o wolności i niewoli, o sprawiedliwości i zbrodni, o miłości i cierpieniu, o życiu i śmierci, o człowieku i jego wielkości o jego celach i środkach do nich prowadzących, o cywilizacjach, które przemijają i o nowej cywilizacji, którą trzeba budować. Dlatego ustalonej już sławie poległego pisarza więcej przysłużyłby się rozumny wybór najciekawszych i najpiękniejszych fragmentów niż wydanie pełnego rękopisu, który zaciera wyrazistą dotąd sylwetkę pisarza-lotnika. Niektóre jego teorie, a zwłaszcza przestarzały mit wodzostwa, są niebezpieczne o tyle, że mogą dostarczyć pożywki doktrynom, które w ostatniej wojnie poniosły zdecydowaną porażkę, dziś zaś, w powojennym chaosie, podnoszą już tu i ówdzie głowę.

Ostatni lot Saint-Exupéry'ego nie zamknął 31 lipca 1944 legendy jego życia i jego dzieła. Jej epilogiem jest „Cytadela".

NAGRODY SAINTE-BEUVE'A

Na liście, sporządzonej dla ambasadorów, krytycy postawili na drugim miejscu essay „L'Homme et la bête" (Gallimard). Autor, Louis-Martin-Chauffier, to jeden z najszlachetniejszych ludzi pióra we Francji, prezes narodowego komitetu pisarzy, wyrosłego z dawnego ruchu oporu, deportowany, który przeszedł przez piekło Neugamme i Bergen-Belsen. Ten humanista chrześcijański, znany już przed wojną jako publicysta i pisarz o obliczu wyraźnie antyfaszystowskim, jest dziś jednym z tych przedstawicieli francuskiej filozofii katolickiej, którzy opierając się na doświadczeniu z czasów walki z okupantem uważają, że porozumienie między katolikami a marksistami jest nie tylko możliwe, ale także potrzebne i pożyteczne. Wreszcie jest on obok Vercorsa jednym z sześciu autorów znamiennej książki „Godzina wyboru" (Edition de Minuit), która porusza najbardziej palące problemy naszej epoki. Martin-Chauffier, który cieszy się wielkim uznaniem i szacunkiem lewicy francuskiej, widzi przyszłość Europy w stopieniu w jedno trzech elementów: chrystianizmu, racjonalizmu i marksizmu.

Temu właśnie pisarzowi przyznano jednogłośnie — rzadkie to zjawisko we francuskich jury literackich — nagrodę Sainte-Beuve'a za essay „Człowiek i zwierzę" należy do tzw. literatury obozowej, bogatej już dziś we Francji. Jeżeli jednak poprzed-

---

Z teki dr. Prota Sowizdrzała

Satyra Szubrawców

„Doniesienie literackie": We wszystkich umiejętnościach wychodziły w różnych czasach dykcjonarze. I tak: mamy dykcjonarze różnych języków znanych na obu półkulach ziemskich: dykcjonarze historyczne, starożytności, medyczne, mineralogiczne, botaniczne, geograficzne, sztuk, rzemiosł itd. Teraz kiedy nauki doszły do wyższego stopnia, kiedy więcej ludzi jest piszących, aniżeli czytających i kupujących książki, pewne towarzystwo uczonych ma w przedsięwzięciu wydawać „Żywoty Sławnych Pijaków", których imiona i nazwiska porządkiem alfabetycznym ułożone będą z dokładną wiadomością o trunkach, jakimi się który z nich uraczał lub uracza oraz jak wiele onego wypija w ciągu dnia, godziny, tygodnia, roku; od wiele lat już służy pod chorągwiami Bachusa. Nadto w dykcjonarzu tym poczynione będą pododdziały ku rozgatunkowaniu pijaków służące, jako to: na pijaków gorzałczanych, nalewkowych, krupniczkowych, piwnych, miodowych, winnych, porterowych itd. Słowem, każdy w przyzwoitym miejscu, ze wszystkimi zaletami w dykcjonarzu umieszczony będzie. Nie należy też zapominać, że dykcjonarz ten wielkiej pracy i wielkich nakładów potrzebuje: gdyż dzieło to będzie ogromniejsze aniżeli Volumina Legum, aniżeli dykcjonarz Chińskiego języka, aniżeli wszystkie herbarze Niesieckiego, Paprockiego, Diamentowskiego i dalszych. Stąd oczywisty wniosek, że chcący unieśmiertelnić siebie, domyślą się przysłać na expensa druku, a to podług możności i liczby lat, jak od dawna piją. Nie tylko mężczyźni, ale i kobiety, sławne z takowego talentu, mogą swe adresa przesyłać. Uprasza się tylko, ażeby osoby, czujące się po zasługach swoich, iż mają niezaprzeczone prawo do podania ku wiecznej pamięci imion swoich, raczyły w odezwach zapisywać wyraźnie imiona, nazwiska i znaczenie oraz załączyć listę konduity swojej przynajmniej przez kilkunastu zasłużonych w zawodzie bachusowym mężów, a przynajmniej szynkarzów poświadczoną Przedsiębiorcy zaś tego dzieła przyrzekają najsolenniej dołożyć wszelkiego starania w zachowaniu dokładności historycznej i nie pożałują expensu dla ozdoby samego dzieła".

(„Wiadomości Brukowe". 1817. Nrek. 13)

✤

1. „Niegrzeczność natury": Niedawno pewna młoda, wykwintnego prowadzenia panienka, postrzegłszy miłą i nadobną chłopkę pytała u swojej mamy: dlaczego chłopka tak piękna? a gdy odebrała odpowiedź, że to natura tak dała, rzekła: „Fi donc! jak ta natura musi być niegrzeczna, kiedy tylą wdziękami chłopkę przyozdobiła".

2. „Napis": Na domie poety (za wileńską bramą, pod górą boufałowską) przez niego postawionym, znaleziono w roku 1813 następujący napis:

Poeta żył w tej stodole.
Nie sprzyjał mu los ni muzy:
Wiersze jego zjadły mole,
A dom zburzyli Francuzy.

(„Wiadomości Brukowe". 1817. Nrek. 7).

3. „W pewnym miejscu rozgadano się o funduszach zakonników, a po różnych uwagach i potocznych rozprawach, rzekł pewien Statysta: Trzeba wiedzieć, że fundusze naszych zakonników są bardzo sparaliżowane. — Co za dziw, odpowiedział drugi, wszak to naturalna przyczyna. Klasztory pospolicie są napełnione korytarzami, ciąg wiatrów łatwo paraliżu nabawia. — A! Mospanie! przerwał pierwszy, przecież nie dziś klasztory zbudowano; czemuż dawniej tego nie bywało? — Bo nasz klimat nie doznawał dawniej tak często wiatrów groźnych i furtka zakonna ściślej była zamykana".

(„Wiadomości Brukowe". 1819. Nrek. 129).

Podał do druku: **Wacław Kubacki**

WOJCIECH ŻUKROWSKI **rysunki JULIUSZA KRAJEWSKIEGO**

Ręka ojca

14)

— Myślałem już o was — mówił powoli Znaczony — jeden z naszego oddziału, sekretarz gminy Jankowski, dostał już nominację, będzie starostą. Chciałem was do niego przydzielić, trzeba mu pomóc...

— Wolę być z chłopcami pod bronią!

— Od jutra robimy porządki, uformuje się Milicję Obywatelską, chcecie wziąć na siebie południową stronę powiatu, siedem wsi wraz z Doboszowem? Dacie sobie radę?

— Pewnie, że dam.

— Na razie kwaterę można mieć w zamku, ale potem zajmiecie koszary w Doboszowie, starosta będzie was chciał mieć pod ręką!

— Rozkaz. Ilu ludzi mogę mieć?

Ilu wam będzie potrzeba. Z tych coście przeszkolili zrobić podoficerów.

— A ja?

— Co wy?

— Jak będzie z moim stopniem?

— A kto was będzie o to pytał: Przyszyjcie sobie dwie gwiazdki na moją odpowiedzialność. Teraz trzeba mieć posłuch, potem i tak się wyjaśni... Zasłużysz sobie, zapracujesz — pójdziesz w górę! Nie nadasz się, będą inni.

— Jeszcze jedno... Nachylił się do ucha Znaczonemu i szeptał chwilę.

— Jasne, że zgarniamy! Jutro będę u was! Teraz muszę powiedzieć Rosjanom, cośmy stąd widzieli. Weźcie ze sobą paru ludzi i róbcie dalej swoje!

— No to do jutra!

Tadeusz zabrał dwie drużyny.

— Kierunek tamto światło w dole! Jazda chłopaki!

Rozdzielili się. — Część oddziału poszła grzbietem góry za Znaczonym, chrześciła jeszcze chwilę w krzakach, wśród zeschłych gałązek reszta stromo zsuwała się w doline. Gwiazdy ponad wierzchołkami drzew wisiały nisko, wielkie i ostre. Mróz szczypał w policzki.

— Chodźcie, a dużo nie gadajcie, bo możecie oberwać, kto wie, co się jeszcze tej nocy zdarzy, uciszał głosy za sobą.

— Pewnie, wszystkich Niemców nie wyłapano!

— Myśmy niespodziewanie na Ruskich wleźli, nos w nos...

— Zgonieni bardzo...

— Czołgi mają jak smoki.

— Słuchajcie! Czterech pójdzie do księdza i wykopie dół. Tylko tak piorunem, żebyście się rozgrzali, reszta ze mną do zamku. Zejdziemy się w parku przy ognisku, więc się nie rozłaźcie!

Szybko szli ścieżką. Zanim skręcili na podwórze, zebrał ich dokoła siebie i objaśnił co mają robić. Śnieg piszczał pod butami, przestępowali z nogi na nogę, przytupywali, żeby nie zmarznąć.

Nagle drzwi otworzyły się i ktoś wyszedł. Musiał być obcy, bo wlazł na zgarnięte kupy śniegu, potykał się, zmierzając ku bramie.

— Stój! — zawołał Tadeusz. — Stój, tu swoi!

Echo zadudniło pod sklepieniem bramy, uciekał.

— Strzelę — powiedział jeden z partyzantów. — Przeciągnę mu po nogach!

Plama biegnącego niewyraźnie majaczyła na wyślizganym podjeździe

— Wal! — zgodził się Tadeusz.

Partyzant oparł lufę wygodnie o mur obronny i wypruł uważnie serię. Trafiony zawył, zesunął się po zmarzniętych kolejnach.

Dopadli go w dwóch skokach. Już nachylając się, po samym zapachu tranu, jakim miał natarte buty, poznawali Niemca. Tadeusz namacał gładki hełm, nie mylili się.

Osłaniając dłonią płomyk zapałki przyjrzeli się młodej twarzy zabitego. Krew i mleko ciekły mu z ust.

— Nie może się tak rozwalać na środku drogi — powiedział Tadeusz. — Trzeba go stąd uprzątnąć.

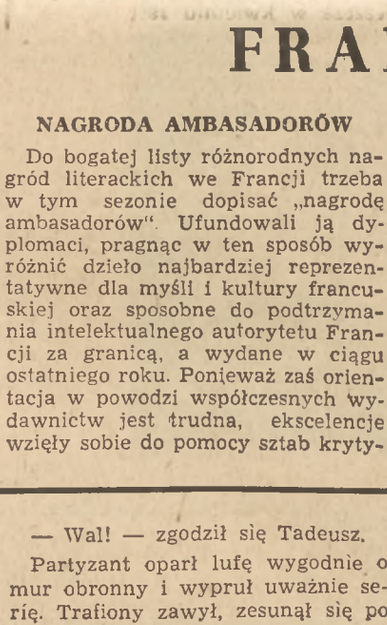

Pociągnęli zwłoki na sam skraj i zepchnęli do fosy. Ciało spadało majtając bezwładnymi kończynami, aż na dnie zaryło się w grubym śniegu, naniesionym niedawną wichurą.

— Szkoda, że tylko jeden — mruknął ten co strzelał, zabezpieczając automat.

Zatrzymali się przy schodach. Uchylili drzwi. Światło było w kuchni przygaszone. Gdy Tadeusz zajrzał, obie kobiety kuliły się przy piecu.

— Kto tam strzelał, panie Tadziu?

— Nie wychodźcie, lepiej się teraz nie kręcić, Rosjanie łapią po całej górze ostatnich Niemców!

Wysunął się z ciepłego zaduchu, rozglądał czujnie. Korytarzem sunął sędzia Nahorayski.

— Co się tam dzieje? Wyglądał pan na podwórze?

— Już są Rosjanie. Przeszły pierwsze patrole.

— Pójdę do żony, jest przy dzieciach, lepiej, żeby wiedziała co się święci...

— Ale niech pan sędzia idzie dokoła korytarzami, po co się narażać.

— Pan też powinien być ostrożny.

— Uważam, panie sędzio, nie pcham się zbytnio.

Gdy sędzia zawrócił, Tadeusz wbiegł po schodach na piętro. Słyszał dochodzące z góry płaczliwe okrzyki pani Wacławy.

Dobijała się do pokoju księdza. Bębniła po drzwiach pięściami, kopała obcasem.

— Nie chce pani otworzyć?

— Zamknął się przede mną! Boi się mnie! A tu już bolszewicy! Co ja zrobię?

— Niech się pani położy do łóżka.

— Żeby mnie zgwałcili!

— To panią przeraża? — zapytał złośliwie. — Myśli pani, że zechcą?

— Jak ich wpadnie cała chmara...

— To pani każe im się ustawić w kolejce, oni są przyzwyczajeni do stania w ogonku!

— Ty podły smarkaczu!

— No, no... Tylko spokojnie! Jak pani będzie tu stała i wołała na całe Suchowody: Gwałtu! Gwałtu! — to może się stać nawet zadość pani życzeniu!

— Niech pan nie będzie okrutny! Co mam robić?

— Zamknąć się w pokoju i spać!

— Naprawdę myśli pan, że nie wyłamią mi drzwi?

— Jestem nawet tego pewny! Biją się od dwóch dni, zdobywają, po

co by mieli jeszcze do pani pokoju szturmować?

— I pan to mówi poważnie?

— Niech pani weźmie przykład z księdza, śpi jak aniołek.

Podprowadził ją, odczekał, aż usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Na drzwiach wisiała wizytówka, panieńskie nazwisko — Seidler — było starannie zamazane atramentem, a niżej dopisano — „żona oficera Wojsk Polskich". Gwizdnął z uciechy. Pobiegł korytarzem i zgasił lampę.

— Wchodzić chłopaki, szybko, syknął, wpuszczając ich do sieni

Lampy były zgaszone, tylko czerwona oświetlała dół wielkiego obrazu, stopę depczącą węża. Dzieci już spały. Celina siedziała przy oknie zgarbiona, podniosła skraj zasłony i wyglądała na podwórze. Sędzia grzał sobie ręce na kaflach starego pieca

— Kto się tam kręci po podwórzu? Księżyc jeszcze za górą, trudno dojrzeć.

— Pewnie już Rosjanie.

Pani Janina przesunęła się ostrożnie między łóżkami.

— Myślisz, że już przyszli? — pochwyciła męża za rękę.

— Jakoś nie bardzo się cieszysz? A przecież jesteśmy wolni.

— Może... Dobrze, że z jedną zmorą się skończyło. Bóg był łaskaw, przeżyliśmy. Powiedz sam, jak mogę się cieszyć, kiedy wszystko jest inaczej, niż sobie wymarzyłam. Nikt z nas nie oczekiwał, że tak się sprawy ułożą — wolność ze Wschodu. Nie wiem nawet, jacy oni są i co ze sobą przynoszą...

— No, nie mów, już od pół roku ich wyglądaliśmy.

— Czy to ich... Czekało się na koniec. Teraz chciałabym, byłabym najszczęśliwsza, żebym ich nie musiała oglądać. Niech idą za Niemcami nawet do Renu. Niech nas jak najprędzej zostawią samych, z naszą żałobą.

— Przecież są z nimi jakieś wojska polskie.

— I ty w to wierzysz?

— No, zobaczymy, nie można wszystkiego z góry przesądzać. Zauważyłem jedną zmianę w sobie, przestałem się ich bać. Możliwe, że człowiek łatwiej się godzi z tym co jest nieuniknione, co właściwie już jest...

— Byłeś dziś taki zły na mnie.

— Nie, wcale nie na ciebie — przerwał jej żywo. — To na siebie byłem zły, a lękałem się, że twoja

nika zagraniczna • Kronika zagraniczna • Kronika zagraniczna • Kronika •

micy Martin-Chauffiera opisywali strukturę „świata koncentracyjnego" i funkcjonowanie całego systemu obozowego, to on sam dzieli się z czytelnikiem refleksjami deportowanego, które mają być lekcją i ostrzeżeniem. Autor, który od razu po klęsce wybrał drogę właściwą i wstąpił w szeregi ruchu oporu — to znaczy opowiedział się po stronie wolności i godności człowieka przeciw niewoli — szuka odpowiedzi na pytanie, dlaczego eksperyment koncentracyjny uwieńczony został powodzeniem, dlaczego planowa próba upodlenia człowieka i zabicia w nim godności, co uważa za największą zbrodnię hitleryzmu — powiodła się w 95 proc. Nazizm postawił w swojej grze na bestię, drzemiącą w człowieku. Rzeczywiście, deportowani zatracili na ogół w obozie swoje ludzkie oblicze i podeptali swą godność, zwyciężało w nich zwierzę. Tylko jeden na dwudziestu zachował swe człowieczeństwo nietknięte, ale i to wystarcza pisarzowi, by nie tylko nie zwątpić w człowieka ale nawet odzyskać wiarę w niego i w jego wartość. Ten jeden „sprawiedliwy" okupił upadek wszystkich, którzy ulegli bestii, i dowiódł, że zwycięstwo człowieka nad bestią jest dostępne dla każdego. Zwycięstwo jednostkowe stało się równocześnie tryumfem kolektywnym. Człowiek uratował swą ludzką godność, pozostał wierny sobie, odrzucił system wartości, który ustrój koncentracyjny usiłował mu narzucić. Wola ludzka odniosła tryumf, ona bowiem obroniła człowieka przed upodleniem, wyrwała go śmierci albo też nadała tej śmierci głęboki sens.

Nagrodę Sainte-Beuve'a w dziedzinie powieści przyznano po długich debatach René Reudelowi za pierwszy tom „Si le sèl s'affadit" (La Table Ronde). Akcja tego romansu rozgrywa się w murach seminarium duchownego w Bordeaux i skupia się wokół postaci jednego z alumnów, który szuka rozumowego uzasadnienia dla swej wiary i walczy z ogarniającym go zwątpieniem. Reudel z drobiazgowym realizmem odtwarza życie seminarzystów i środowisko kościelne. Szczytowym punktem utworu jest scena wyświęcenia, w której powieścipisarz umiejętnie wiąże realistyczny opis ceremonii z komentarzem długich tekstów liturgicznych i z reakcjami psychicznymi bohatera.

NAGRODA KRYTYKÓW

Obok Goncourtów nagroda krytyków mimo swojego młodego wieku (powstała dopiero po wojnie) jest najpoważniejszym i najbardziej upragnionym odznaczeniem literackim we Francji. W tym roku praca krytyków była wyjątkowo trudna. Podczas trzech przedwstępnych posiedzeń wybrano dziesięciu kandydatów. Mimo to poniedziałkowe, jak każe tradycja, obrady jury były długie i burzliwe. Jako poważny kandydat do nagrody wypłynął poeta Muselli, którego jednak, według wyznania jednego z członków jury, „nie można było uwieńczyć za 10-stronicową broszurkę, opublikowaną u **nieznanego wydawcy**". Ostatecznie zwycięstwo w piętnastym dopiero z kolei głosowaniu — stanowi to nowy rekord — odniósł Georges Buraud, autor essayu „Les masques" (Edition du Seuil). Nagroda krytyków przeznaczona jest dla debiutanta. G. Buraud mimo przekroczonej pięćdziesiątki, jest właśnie debiutantem, rozpoczynającym dopiero swoją karierę literacką. „Maski", podobnie jak dwie dalsze książki przygotowane do druku: „Les trois sources du paysage en peinture" i „La femme et ses images", poświęca on zagadnieniu iluzji w sztuce i w życiu.

„Maski" wprowadzają nas w królestwo metamorfozy. Maska jest podstawowym wyrazem ogólnej potrzeby przeobrażenia. U ludów pierwotnych metamorfoza ta jest całkowita, Europejczyk XX wieku ogranicza się do przebrania. Kilka razy na dzień zmienia on maskę-twarz, (maska bowiem wcieliła się w twarz, a twarz stała się maską), zależnie od okazji, sytuacji, towarzystwa, dostosowując ją do każdorazowej potrzeby. Buraud sporządza bogaty inwentarz masek wszystkich czasów i ludów, wpisując doń maski Egiptu ze sfinksem, ukazanym na wstępie książki, maski Grecji, Rzymu, Indyj, Oceanii, Japonii i Ameryki, maski karnawałowe i maski klownów, maski murzyńskie i maski zwierzęce. Wszystkie one mają swoje znaczenie i sens, tworzą swoisty system znaków i symboli.

Maska wyznaje nasze uczucia i wypowiada instynkty, ukrywa je lub fałszuje, maska zniża nas do poziomu zwierzęcia, lub podnosi do Boga. Człowiek nakłada maskę, by ukryć siebie, by oszukać, by sfałszować stosunek istniejący między obliczem a duszą (maska psychologiczna), albo też przykleja ją na twarz, by podkreślić ten stosunek, który drzewo, skóra czy papier uwydatnia i wzmacnia, polaryzując siły rozproszone (maska metafizyczna). Cała filozofia maski Burauda mieści się w tych dwóch możliwościach i ich wariantach. Maska psychologiczna, która ukrywa właściwy charakter człowieka i wyodrębnia jedną jego cechę czy namiętność, stała się dzisiaj niepotrzebna. Taką maskę wyrzeźbiło na naszej twarzy samo życie. Z maską metafizyczną stykamy się w teatrze greckim i u ludów czarnych. U Greków dawała ona wyraz głębokim odruchom duszy, uwikłanej w powszechny dramat ludzki i sprowadzała się w gruncie rzeczy do jednego typu. U ludów Afryki i Oceanii stanowiła część ceremonii magicznych (tańce, ofiary, wtajemniczenia) i łączyła się z czarnoksięstwem. „W metafizyce czarnoksiężników polinezyjskich jednostka jest zbiornikiem i twórcą niewidzialnych sił i energii, rozsianych w świecie — jest więc prawdziwą machiną magnetyczną". W społeczeństwie współczesnym spotkamy jeszcze taką maskę na twarzach błaznów, kobiet, które pokrywają swe oblicze szminką, by zbliżyć się do ideału piękności i wzbudzić miłość, wreszcie na twarzach zmarłych, na których śmierć wyryła ich niekłamaną prawdę ostateczną.

Essay Burauda, który w swych rozważaniach pragnie ustalić stosunek między naszą prawdą a naszym kłamstwem, jest lekturą pasjonującą. Szkoda tylko, że autor ograniczył się do badań estetycznych i nie sięgnął do przyczyn natury społecznej, religijnej i utylitarnej, które niewątpliwie leżały u źródła narodzin maski, jak również nie poparł swoich wywodów dostatecznym materiałem ilustracyjnym.

NAGRODY AKADEMII FRANCUSKIEJ

Akademia Francuska rozdzieliła również w czerwcu kilkanaście nagród literackich. Najważniejszą z nich, wielką nagrodę literatury za rok 1948, otrzymał jednogłośną decyzją Gabriel Marcel za całość twórczości. Marcel, kontynuator niemieckiego myśliciela Jaspersa, jest przede wszystkim filozofem, wodzem egzystencjalizmu chrześcijańskiego. Poza licznymi essayami napisał on kilka sztuk teatralnych, które stanowią sceniczną ilustrację jego teorii filozoficznych. Ostatnio wydał cztery komedie w „Théâtre comique". Pisarz ten śledzi również uważnie współczesne życie teatru i prowadzi w „Les Nouvelles Littéraires" tygodniową rubrykę teatralną, najlepszą bodajże spośród pism paryskich. Odznaczenie Marcela jest ukłonem Akademii w stronę modnego po wojnie we Francji egzystencjalizmu i oficjalnym wyrazem uznania dla tego kierunku.

Ogólną sensację wzbudziło nieprzyznanie wielkiej nagrody powieściowej, wypadek bez precedensu w historii Akademii. Głosy jej członków rozstrzeliły się między trójcę powieściopisarzy: Germaine Beaumont, Yves Gandon i Paul Vialar. Pomimo kilku tur głosowania nie zdołano dojść do kompromisu.

Tak więc letni sezon literacki należy uważać za zamknięty. Rozdzielono laury, w paryskim życiu literackim znów zapanował na krótko spokój.

Decyzje jury czerwcowych potwierdzają diagnozę krytyków, narzekających na nieurodzaj powieści. Wprawdzie przesadne twierdzenie o zgonie francuskiego romansu nie odpowiada rzeczywistości, niemniej choroba, jaką on przechodzi, jest bardzo poważna. W ostatnim roku literackim nie widzieliśmy ani jednej wybitnej powieści. Nawet wydana równy rok temu „Zaraza" Camusa jest tylko essayem w formie powieściowej. Akademia Francuska, nie znalazłszy bezspornego kandydata do nagrody, odłożyła swą decyzję do przyszłego roku. Jury nagrody powieściowej Sainte-Beuve'a sięgnęło po książkę, wydaną w ubiegłym sezonie. Na liście dla dyplomatów wśród dziesięciu dzieł figurowały zaledwie trzy powieści w sąsiedztwie dwóch tomików poezji i licznych essayów. Nagrodę krytyków, ufundowaną z myślą o powieści, zagarnął w tym roku po raz pierwszy inny gatunek literacki.

Z igrzysk czerwcowych zwycięsko wyszedł essay. We francuskiej literaturze powojennej coraz mocniej zaznacza się przewaga refleksji nad fikcją. Nagrodzone utwory Burauda, Martin-Chauffiera, Marcela czy nawet Saint-Exupéry'ego są essayami lub też stoją na pograniczu tego gatunku. Dziś jest jeszcze za wcześnie, by formułować obowiązujące wnioski o przyszłości literatury francuskiej. Mimo woli jednak narzuca się pytanie, czy nie stoimy w przede dniu wielkiej epoki essayu.

Stanisław Gogłuska

JUGOSŁAWIA

Nieprzeciętną książką jest pierwsza powieść Piotra Szegedina „Dzieci boże", której akcja rozgrywa się podczas pierwszej wojny światowej na wyspie Korczuli. Odznacza się ona sugestywną bezpośredniością, mistrzowskimi obrazami i opisami, niezwykle plastyczną ewokacją dawnych stosunków na zapadłej i zapuszczonej wsi korczulańskiej, w której autor spędził swoje dzieciństwo i młodość. Książka ta przesiąknięta silnym pesymizmem jest nawet dla Chorwatów ciężka do czytania, gdyż napisana jest prawie w całości mało znanym dialektem.

Zbiór sześciu nowel Wjekoslawa Kaleba, za który otrzymał drugą nagrodę Komitetu dla Kultury i Sztuki rządu FLR Jugosławii, nosi tytuł „Brygada". Treść nowel zaczerpnął autor z walk partyzanckich i z czasów okupacji. W przedstawieniu osób i wydarzeń posługuje się on metodą realistyczną przy oszczędnym psychologizowaniu. Za najlepsze w tym zbiorku uznała krytyka „Kronikę dnia", „Okno" i „Brygadę", podkreślając, że najbardziej udałe ustępy są te, które odnoszą się do poszczególnych osób lub małych grup.

Drugą nagrodę państwową za powieść (pierwszej nie przyznano nikomu), wydaną w 1947 r., otrzymał Otton Bihalji-Merin, za książkę „Do widzenia w październiku". Jest to właściwie ubrany w formę powieściową, literacko opracowany pamiętnik z obozu jeńców wojennych z armii starej Jugosławii. Najlepiej wypadły partie przedstawiające wydarzenia, w których autor sam uczestniczył, inne zaś blado i nieprzekonywająco. Jest to zresztą w literaturze serbskiej pierwsza próba powieści o tematyce współczesnej.

W przekładzie serbskim wyszła niedawno powieść „Jamnica", za którą autor jej, Słoweniec Prežihow Woranc, otrzymał drugą nagrodę państwową za r. 1946. Prežihow Woranc, przedstawia tutaj realistycznie stosunki socjalne słoweńskiej wsi w Karyntii w okresie międzywojennym.

Srpska Knjiżevna Zadruga (Serbska Spółdzielnia Literacka), założona w 1892 r., niegdyś bardzo popularne wydawnictwo, wznowiła swą działalność wydawniczą dopiero pod koniec ub. r., po reorganizacji. Jednomyślną uchwałą, powziętą jeszcze w kwietniu 1945 r., zarząd spółdzielni wyparł się 12 tomów wydanych przez komisaryczny zarząd, narzucony tej zasłużonej instytucji za okupacji, i skreślił je z listy swoich wydawnictw. Obecnie, po 7-letniej przerwie, wydano jako pierwszy tom przekład powieści Turgieniewa „Ojcowie i dzieci", następnie zbiorową księgę „Kroz borbu i stradanja" (Przez walkę i cierpienia). Celem tej księgi miało być przedstawienie gehenny okupacyjnej i bohaterskich walk o wyzwolenie w zwierciadle literackich utworów prozaików serbskich. Krytyka zarzuciła redakcji, że w zbiorze nie uwzględniono utworów najlepszych (byłyby to przedruki), że pominięto takich znanych autorów, jak R. Zogowić, J. Popowić i Cz. Minderowić, a włączono wiele rzeczy pisarzy początkujących, i wreszcie wskutek ilościowej przewagi utworów o tematyce okupacyjnej przedstawienie walk partyzanckich zepchnięto na drugi plan. Przyznaje jednak, że w księdze tej znalazło się kilka nowel i opowiadań o wysokiej wartości artystycznej nie tylko autorów starszych, o wyrobionej już marce jak Iwo Andrić, Weljko Petrović, Desanka Maksymowić, lecz także i młodszych, a nawet całkiem młodych, jak Rodoliub Czolakowa, Michał Lalić, Banowić, Cz[illegible]

Z ostrą krytyką spotkał się dramat słoweńskiego autora Witomila Zupana „Sprawa Jerzego Trajbasa", wydany przez państwowy „Słoweński Zakład Wydawniczy". Jest to dramat jakby o jakimś nietzscheańskim nadczłowieku, który odrzucając wszelką moralność dąży przez zbrodnie do wydźwignięcia się z chłopa i hrabskiego ekonoma na wyższy szczebel społeczny. Recenzje wytykają autorowi tanie efekty przestarzałego romantyzmu sztuczność i anachronizm pomysłu i oskarżają go o ucieczkę przed aktualną rzeczywistością społeczną w dekadencki kosmopolityzm i fantastycznie skonstruowaną przeszłość. Przyznają mu jednak niemały talent literacki, który ma już za sobą poezje, trzyaktową sztukę i kilka nowel o tematyce partyzanckiej, uważanych jednak raczej za paszkwile, jako że autor — jak sam się wyraził — napisał je „jako protest przeciw ckliwemu, literackiemu grzebaniu się w białych kościach za spalonymi domami".

W Jugosławii jeszcze silniej niż u nas odczuwa się brak dobrej i sumiennej krytyki literackiej. Najwybitniejszym serbskim krytykiem i essayistą jest Czarnogórzec żyjący w Belgradzie, Radowan Zogowić, zarazem świetny poeta, autor pięknego poematu o biografii marszałka Tito. Pod koniec 1947 r. wydał on książkę „Na pobojowisku", w której zgromadził 30 prac z dziedziny aktualnej krytyki literackiej i literacko - historycznej essayistyki, tudzież 13 artykułów i polemik z zakresu publicystyki literackiej i kulturalnej, ogłaszanych w ciągu ostatnich 12 lat po różnych czasopismach i dziennikach. Odznaczają się one wyrazistością myśli, precyzyjną argumentacją, jasnością wykładu, czystością i płynnością języka. Jest to chyba pierwsza w nowej Jugosławii książka z dziedziny krytyki literackiej.

Pierwszy zbiór nowel i opowiadań „U vatri" (W ogniu) młodego serbskiego nowelisty Eriha Kosza zapowiada niewątpliwy talent literacki. Erich Kosz tematy zaczerpnięte z walk partyzanckich przedstawia bez patosu (co mu za złe biorą) niezwykle plastycznie i barwnie, nie szczędząc malowniczych opisów przyrody.

Wiktor Bazielich

STANISŁAW JERZY LEC

FRASZKI

* * *

Choćbyś służył ogniowi, Bóg wie ile lat,
jak słomę cię spopieli, gdybyś w płomień wpadł.

(z Goethego)

LASCIATE OGNI SPERANZA

Jak tam gdzie piekieł noc dantowa
Nad bramą Niemiec niech się kowa
Ten napis (o ich wiedzy mowa)
z Hamleta: „Słowa, słowa, słowa!"

(z Grillparzera)

O SAMOLUBIE

Ktoś zjadł w jabłku robaka i krzyknął że źle mu.
Samolub! A robaczek — biedaczek jak jemu?

* * *

Jeszcze żyje Kain. Lecz to Abla wina
że go zarżnął Kain, a nie on Kaina.

POPRAWKA W REGULE ZACHOWANIA MATERII

Nic w przyrodzie nie ginie.
Ludzie jedynie.

---

czułość jeszcze bardziej mnie osłabi, stanę się całkiem bezbronny.

— O, proszę pani, znowu przeszli — szepnęła Celinka nie odlepiając nosa od szyby. — Cała gromada pomaszerowała do parku.

— Nie wyglądaj lepiej, mogą zauważyć, jeszcze cię wezmą za szpiega!

— Płakać mi się chce, proszę pani, mogliśmy dziś napaść na Niemców, walczyć.. Robić coś... To okropne stać tak i czekać, aż się wszystko uspokoi i znowu będzie zwyczajny dzień.

— Celinko, przecież robiliśmy próby, oni nas nie chcieli.

— Czy pani jest tego pewna?

— Tak, jestem pewna, przypomnij sobie Warszawę.

— Tadek inaczej o tym mówił, a przecież jest powstańcem.

— Tadek jest jeszcze za młody, by te sprawy ogarnął.

— Spokoju, trochę spokoju... odezwał się sędzia — dziś jeszcze jesteśmy w ciemności. Historia wszystko pokaże.

— Historia, w której dla nas kart braknie! — wybuchnęła Celinka. — Po co było to wszystko montować, jeśli dziś siedzimy bezczynnie, po co była walka, ofiary...

— Po to, żebyśmy po klęsce wrześniowej nie czuli się mali i nędzni. Ta nierówna walka, nie światu, tylko nam była potrzebna, przywracała nam godność. Wobec potęg, jakie się ze sobą pasowały, niewiele mogliśmy zaważyć.

— Ja wiem, że pan może mieć słuszność, ale tak trudno mi się pogodzić. No, bo niech pan powie, co teraz mamy robić? Czekać tylko?

— O co pani chodzi? O cel ostateczny? Przecież pozostał ten sam: wolna, niepodległa, więc co pani brakuje na dni najbliższe, znajdą się, znajdą... Niech pani będzie spokojna.

— Więc pan już jest z nimi, panie sędzio?

— Jeszcze nie, ale myślę, że wystarczy, byśmy tu żyli i pracowali, żebyśmy pragnęli spokojnego dnia, chleba, i książki, a już idziemy z nimi. Zresztą tak samo oni, będą musieli się nagiąć do nas, zależność jest obustronna...

— Ale ja nie mogę, bo wierność...

— Co wierność? Czemu? Przemawia przez panią rozgoryczenie. Pierwsze poglądy, jakie wam podsunięto, przyjęła pani... Wierność, to u nas raczej lenistwo, albo duma, która nie pozwala przyznać

się do pomyłki, a czasem i starość, zdrewniałe mózgi!

— Pan chyba nic nie kochał naprawdę, musi pan być strasznym egoistą — wybuchnęła.

— Nie słuchaj mego męża Celinko, mówi sobie i nam na przekór! Czujesz chyba, ile jest w tym żalu i niepokoju?

— Ja też nie chcę tego słuchać, uważam, że wojna jeszcze nie zakończona, jeszcze zobaczymy... Niemożliwe, żeby się cały naród mylił...

— Ba, naród! Co pani może wiedzieć o narodzie?

— To nie trzeba wiedzieć, to się czuje!

— Ciszej, błagam was, dzieci mi pobudzicie!

— My wcale nie śpimy! — odezwały się głosy z łóżek. — My czekamy co teraz będzie!

— Śpijcie mi zaraz raki — zamruczał sędzia. — Nic nie będzie, już jest znowu spokój.

— Ale my chcemy zobaczyć Rosjan. Kiedy oni przyjdą?

— Pewnie jutro. Śpijcie, żeby prędzej było jutro!

— A jak przyjdą dziś?

— To na pewno się u was zameldują!

— No widzicie, coście narobili — żaliła się pani Janina — teraz się zaczną komedie, nie utrzymam tej bandy pod kocami.

Sędzia podszedł do łóżeczka, w którym leżały obie córki. Gabrynia usiadła zaraz i zarzuciła mu chude rączki na szyję.

— Tatusiu, nie odchodź! Tatuśku, zostań z nami...

Wzdrygnął się, wyprostowany powiedział jak przysięgę:

— Będę z wami. Śpijcie teraz, pamiętajcie, musicie dać dobry przykład wszystkim dzieciom. Pomóżcie mamusi.

— A jutro, ja pójdę na wojnę — powiedział sennie Włodzio Aniserewicz.

— A ja naprzeciw pannie Łucji — odezwała się Teklunia.

— Na pewno jak się zbudzicie rano, już i panna Łucja będzie z nami... No, dobranoc

— Och, Łucja jest słowna, szepnęła Celina, jeżeli Batog dziś się z miasta wydostał, to Łucję mogło zatrzymać tylko jakieś nieszczęście...

— Któż to Batog? Co się dzieje w mieście?

— Właściwe nic, nawet popłochu nie widać. Niemcy potrafią wszystko ukryć do ostatniej chwili.

— Dlaczegoście mi nie powiedziały?

— To znajomy Celinki, wpadł na chwilę, zamieniliśmy parę słów.

— Myślę Janinko, że napilibyśmy się chętnie mocnej kawy, zajmę się tym na górze, jak będzie gotowa, dam ci znać.

— Zostanę dziś na noc przy dzieciach.

— Rozumiem cię. Wpadnę tu za kwadrans. Dobranoc panno Celinko, niech się pani na mnie nie dąsa, nie chciałem pani dokuczyć. Jutro jeszcze pogadamy. Wkrótce przekona się pani, że urokiem młodości jest wprawdzie wiara w ideały, ale co dnia inne...

— Dobranoc panie sędzio. Zdaje mi się, że pan nas nie zna, no bo i skąd? Był pan z nami? Nie! Siedział pan w robocie? Też nie! Mierzy nas pan swoją miarą, a my już jesteśmy innym pokoleniem prostszym od was i uczciwszym Na pewno się mylimy, ale za każdą pomyłkę płacimy rzetelnie, bez długiego targu, krwią.

Nahorayskiego dotknął ton wyższości w głosie dziewczyny, chciał odpowiedzieć, ale żona ścisnęła mu dłoń znacząco, więc bez słowa wyszedł. Pewnym krokiem przemierzał mroczne korytarze. Doszedłszy do schodów, nasłuchiwał chwilę, w całym domu panowała cisza.

Więc mają mi za złe, że nie konspiruję, sądzą mnie, może nawet gardzą — pomyślał ze złością. — Dobrze, dobrze, jeszcze się pokaże, kto jest odważny. Tylko głupcy idą śmiało, nie ogarniają niebezpieczeństwa i wciągają drugich. Niebezpieczeństwo trzeba niszczyć w zarodku. — Zmierzał prosto do kuchni. Drzwi były na klucz zamknięte.

Zapukał. Usłyszał skrzypnięcie stołka

— Nie bójcie się. Otwórzcie, to ja jestem!

Człapiąc ciężko Walercia przeszła kuchnię, gdy otworzyła drzwi, sędzia był zaskoczony ciemnością.

— Na co pogasiliście lampy? Walercia tak sama siedzi?

— Lepiej po ciemku, bo jeszcze do okna strzelą. Była ze mną poznaniánka, ale uciekła na górę do siebie i zamknęła się z córką.

Sędzia dobrnął do lampy. Z zapalniczką w podniesionej ręce mocował się ze szkłem, pocierał płomieniem po knocie.

Kot wskoczył na stół, mruczał i giął zadarty ogon, chodząc tam i z powrotem. Sędzia pogładził go po szyi, ukradkiem wytarł sobie o sierść palce, do których przywarł zapach nafty.

— Myślę Walerciu, że teraz byłaby pora, musimy spróbować...

— A tam na dole nie ma ich? Słyszałam, jak chodzili po podwórzu.

— Uciszyło się jakoś, ja idę pierwszy, Walercia za mną, nie ma znów się czego bać, to wszystko także ludzie.

— Ludzie ludzi też zabíją. Co za czas... Posłał pan sędzia Jana i dotąd nie wraca. Biedna panna Łucja, pewnie się o dzieci zamartwia, a u nas chwała Bogu już po wszystkim... Przewaliło się bez strat najgorsze.

Zeszli do piwnicy. Blacha na drzwiach iskrzyła się od szronu. W podziemiu było dużo cieplej Walercia namacała świecę, pryskały zapałki

— Czy pan sędzia wie, że ksiądz dotąd poza domem? Tak się zgniewał na panią Wacławę, nas sfuka i poszedł do parku. Jest to sens? Żeby złe kusić po nocy?

— Musiałyście mu dobrze dokuczyć, żeby go z domu wypędzić!

— My? Panie sędzio, jabym mu nieba przychyliła!

— A pleciecie co wam ślina na język przyniesie, byle mu tylko dopiec do żywego!

— Co się mówiło, to dla jego dobra, żeby mu oczy otworzyć, bo on ufny jak dziecko. Jak kto dobry, to i w drugim złości się nie spodziewa, więc go za nos wodzą.

— Wam się zdaje, żeście wszystkie rozumy posiadły. On zna życie, dosyć się w konfesjonale prawdy nasłucha. No, gdzie ta piwnica?

— Zarutko... Za tym rumowiskiem... Ostatnia beczka, panie sędzio. Przychodzę tu z rana...

Nacisnęła beczkę, odtoczyła ją powoli Czarny otwór pokazał się w ścianie.

— Niech mi Walercia pozwoli...

Odebrał od niej świecę, przyklęknął i powoli wsunął się w ciasne przejście.

— Tam nic nie ma! — zawołał nagle.

Walercia już go trykała głową, pchając się do piwniczki.

— Jak Boga kocham, panie sędzio, były skrzynie! Sama z rana widziałam! Było karabinów a karabinów...

Na ziemi wyraźnie odcisnął się ślad skrzyń, leżały zatłuszczone szmaty i papiery. Sędzia nie mógł zaprzeczyć.

— O, chodzili — pokazała odbitą w piasku podkówkę — przyszli i powynosili!

— Ale kto?

— To już pan sędzia wie najlepiej, pewnie ci, co im pan kazał przedtem broń przynieść.

(Dalszy ciąg nastąpi)

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

Dwie Krzywickie?

Irena Krzywicka

Irena Krzywicka...! Mój Wielki Boże! To imię i nazwisko wywołuje od razu szmat pogmatwanej międzywojennej polskiej historii literatury. Już widzę ogromną płachtę „Wiadomości Literackich" z ich lat najbardziej „skandalicznych" — dwudziestych dziewiątych — trzydziestych drugich, trzecich, kiedy Boy gromił swych „okupantów", demaskował „konsystorskie dziewice", kiedy pismo literackie potykało się w szrankach świadomego macierzyństwa i poświęcało specjalne kolumny eugenice. Pani Krzywicka była partyzantką, nawet regularnym żołnierzem tej obyczajowej kampanii; rzuciła czytelnikom wyzwanie tytułem swej „Pierwszej krwi", równie epatującym, jak zwodniczym, rozemocjonowała wszystkich, niektórych oburzyła (bodaj swą obroną Gorgonowej) — i tak już pozostała nie tylko w pamięci kilkunastoletniego szczeniaka wertującego co tydzień „pikantne" „Wiadomości Literackie", ale nawet znacznie dorośleszej publiczności.

Okładki powinny świadczyć o książkach — i jakże często gruntują powszechną o autorze opinię. Pierwsza powojenna książka Ireny Krzywickiej [1]), opatrzona została przez wydawcę sylwetką młodej dziewczyny, zalotnie kokietującej zgrabnymi nogami na tle warszawskiego Starego Miasta. Ci, co pamiętali legendę Krzywickiej — a było ich znacznie więcej niż czytelników jej dawnych książek — uśmiechali się dyskretnie, choć niekoniecznie przychylnie. Postać na okładce „Tajemnej przemocy" przypominała im różne ladacznice z zasadami i bez zasad, więc oszczędzając sobie czytania książki z dużą dozą pewności stwierdzali, że Krzywicka — pozostała Krzywicką. Nieco więcej kłopotu nastręczała okładka „Rodziny Martenów". [2]) Przytulny, zakurzony, secesyjno-pluszowy pokój „jadalny", uświęcony rytualnym dagerotypem przodka, zupełnie nie pasował do autorki książki „Sąd idzie!" Tom drugi Martenów [3]) — student w szynelu i młoda kobieta opięta suknią do samych kostek — przypominał trochę Zapolską (Krzywicka niegdyś coś o niej pisała!)... ale i to godziło się nie łatwo z ową legendą.

— Więc jednak zmiana?

— Tak, chyba raczej zmiana! Zmiana jednak nie we mnie samej, ale w czasie. Tamte problemy, przeciwko którym Boy zorganizował opinię i nasze pióra, dziś już zostały w znacznej mierze rozwiązane. Może dzięki nam, a może mimo nas. Domy matki i dziecka rozwiązały kłopotliwe zagadnienie nielegalnego macierzyństwa.

— Rozwiązały, dla stosunkowo nielicznej garstki kobiet. Potrzebujących jest znacznie więcej.

— Ma pan rację. Nie chodzi jednak w tej chwili o ilość, ta będzie rosła z odbudową kraju. Zasada zwyciężyła. Regulacja urodzeń została milcząco przyjęta przez całe społeczeństwo. Dziś pozostaje już tylko sprawa umożliwienia odbycia połogu — a ta będzie coraz bardziej pozytywnie dla matki i przyszłego dziecka załatwiana w miarę rozszerzania się sieci domów, o których wspomniałam. Każda kobieta będzie mogła urodzić i wychować dziecko. Rozwody — te wprowadziło ustawodawstwo ślubów cywilnych. Tamte sprawy — nie zawsze jeszcze w praktyce — zostały właściwie wyczerpane. Epatowanie zaś seksualizmem nie jest już dziś synonimem postępowości.

— Tak, tak, nawet Adam Ważyk w nowym wydaniu swych „Mitów rodzinnych" przeredagował pierwszą scenę powieści, łagodząc zupełnie jej pierwotną drastyczność.

— Inne czasy — inne problemy. Ten truizm jest zawsze prawdziwy.

A ja tymczasem pozostałam nadal niezwykle śmiałą „emancypantką". Zawsze byłam podwarszawską ogrodniczką, właścicielką morgi gruntu, którą interesowało przede wszystkim sadzenie kwiatów — i hodowla owoców. Owa emancypantka nie pasuje ani do mnie, ani do mej twórczości.

W istocie! Ani pierwsze dwa tomy obszernego cyklu „Skuci i wolni", poświęcone rodzinie Martenów, ani „Tajemna przemoc" nie odpowiadają w niczym legendzie, otaczającej dawną współpracowniczkę „Wiadomości Literackich", z której endecko-obskurancka prasa tak zgrabnie zrobiła Boya — a więc co najmniej szatana — w spódnicy. „Marteny" dalekie są od jakiegokolwiek satanizmu. Bliskie są natomiast sercu warszawianina, który dziś tak chętnie bierze do rąk każdy konterfekt utrwalający rysy stolicy, co przeminęła z wiatrem powstańczych i wojennych pożarów.

Dwa pierwsze tomy „Skutych i wolnych" cofają nas ku czasom czwartej kwadry dziewiętnastego stulecia, kiedy dwa kręgi ideologiczne przesiały się w naszym życiu narodowym: krąg popowstańczego pozytywizmu przemieszany z epigonami również popowstańczego romantyzmu i krąg zupełnie nowy, rosnącego socjalizmu. Pierwsi „proletariatczycy" ginęli już z wyroków sądowych, a przyszli młodzi pepesowcy modlili się do niemal świętych postaci Waryńskiego i Kunickiego. Ścierały się ze sobą nie tylko dwa kręgi ideologiczne, ale i obyczajowe. Z jednej strony zacofane w stylu swego codziennego życia i obyczaju burżuazyjne mieszczaństwo, a z drugiej... co było ze strony drugiej? Nie był to jeszcze styl życia proletariatu. Proletariat w swej masie daleki był od ofensywy, a jego życie o wiele bardziej nędzne niż wegetacja mieszczańska. W oparciu o hasła walki klas, o marksistowską ewangelię rodził się natomiast nowy styl — antyburżuazyjnej, rewolucyjnej, zbuntowanej przeciw zastanym kanonom inteligencji. Mieszczańscy synowie powstawali przeciw swym rodzicom — rokosz taki podniósł właśnie Kamil Marten. Zbuntowała się młoda Wanda Bohuszówna przeciw swemu magnackiemu papie. Wśród pluszów, ohydnej secesji, szelestu turniurowych kiecek — rozgrywała się obyczajowo-polityczna rewolucja: odchodziły dzieci od rodziców. Jeszcze jeden wariant problemu nurtującego każdą epokę, każde pokolenie; problemu, który jest bodaj siłą pobudzającą cywilizacji i postępu. Dla nas szczególnie interesująca jest historia Kamila i Gustawa Martenów, dwóch braci, rzuconych na dwie strony historii. Tamten popowstańczy czas wielu niemi łączy się z naszym popowstańczym powojennym czasem. Rewolucje zasiane wtedy—teraz wyrosły ku radości jednych, rozgoryczeniu innych. Ci rozgoryczeni wysunęli znowu odruchowo hasła i wskazania pozytywistyczne, w zmienionych okolicznościach nazwane neopozytywistycznymi; wydają się im opoką, na której z materialnym dla swej ojczyzny pożytkiem potrafią przetrwać czas światowej ideologicznej burzy. Przeglądając albumy przodków, tu i ówdzie jeszcze w Polsce zachowane, jest nam przyjemnie, gdy w skrzywieniu ust naszej babki, starannie wymodelowanym na twardym kartonie fotografii jakiejś pierwszorzędnej firmy Güntnera, odkrywamy raptem uśmiech naszej siostry; kiedy czytamy cykl Krzywickiej z prawdziwą radością, czasem z zażenowaniem, raz po raz chwytamy podobieństwo łączące Cypriana i Gustawa Martenów czy papę Bohusza z kimś dobrze nam znanym z dnia współczesnego, z kręgu rodziny, z ulubionej kawiarni, z biura. Nie wiem czy Krzywicka świadomie wybrała tamten czas, wiem jednak na pewno, że analogie te są miejscami aż drastyczne i one to przydają książce wartości.

— Co skłoniło panią, że wybrała właśnie ten temat? Panią, autorkę „Pierwszej krwi"?

— Powiedział to pan tonem, z którego można by wnioskować, że albo pan „Pierwszej krwi" nie czytał, albo jej nie pamięta...

— Hm... — bąknąłem niewyraźnie. W istocie najsilniej utkwił mi w pamięci tytuł.

— „Pierwsza krew" nic zresztą nie ma wspólnego z opinią, jaka krąży o tej książce... Ta „Pierwsza krew" była już niejako zapowiedzią cyklu Martenów. Była jej dalekim ogniwem i niedługo, pod zmienionym tytułem „Gorzkie zakwitanie" i częściowo przeredagowana, ukaże się jako zupełnie formalny fragment „Skutych i wolnych". W tej, dziejącej się już w niepodległej Polsce powieści próbowałam opisać następną fazę walki między młodymi a starymi, między uważanymi za „skutych" a cncących być „wolnymi". Ale wróćmy do początkowych tomów Martenów. Historię tamtego czasu nosiłam już dawno pod sercem. Urodzona w Syberii, dokąd rodzice moi nie dobrowolnie i nie po złote runo wyjechali z „priwiślańskiego" kraju, weszłam z kolei do rodziny męża, do rodziny teścia Ludwika Krzywickiego; tkwiłam więc stale w kręgu socjalistyczno - niepodległościowym, a gdzie bardziej niż w takim środowisku mogła mi się nasunąć problematyka „skutych i wolnych". Skutych — nie tylko brakiem swobody narodowej, brakiem niepodległości państwowej, ale i brakiem praw i przywilejów politycznych, brakiem należytej socjalnej pozycji, wreszcie skrępowanych jakimiś bezsensownymi konwenansami obyczajowymi, jakimiś rygorami, choćby nawet religijnymi, przeciwko którym podnoszą się wolni. I znowu wolni — nie tylko niezawisłością narodową, prawami politycznymi czy społecznymi, ale też wolni jako ludzie, jako jednostki, wolni, co nie oznacza bynajmniej swawolni — obyczajowo...

— Więc jednak trochę dawnej Krzywickiej...!

— Krzywicka pozostała taka sama, czasy się tylko zmieniły — zagadnienie powtarzające się w każdym pokoleniu, tych skutych i wolnych, jest już od dawna centralnym ośrodkiem moich zainteresowań literackich, nawet krytycznych. Kto wie, czy zamierzony przed wojną, niedokończony, tom studiów o Orzeszkowej, Zapolskiej i innych piszących kobietach z lat trochę już starszych, nie łączy się również z tym pasjonującym mnie zagadnieniem. One przecież też rwały jakieś kajdany. Znaczna większość moich książek powstawała na kanwie tego zasadniczego motywu. Zauważyć to łatwo śledząc choćby tylko postaci występujące tu i ówdzie. Profesor Broniszewski, ojciec Adama z „Gorzkiego zakwitania", socjał nobliwy i dawny minister ledwo niepodległej Rzeczypospolitej — toż to ten sam kuzyn Broniszewski z obu tomów Martenów, zapalony student, jeszcze podówczas „proletariatczyk". Uważny czytelnik w Annie Radoniowej dostrzeże ową Ankę Martenównę. Ten sam Broniszewski pojawi się, już jako czcigodny starzec, w „Tajemnej przemocy", opowiadaniu, które nadało tytuł całemu zbiorkowi. A Stefan Marten z innego opowiadania tegoż tomu — to wnuk w prostej linii Cypriana, ojca Kamila, Gustawa, Anki i Hesi. — Jak widać, cała ta sprawa tkwiła już we mnie dawno i zainteresowanie rodem Martenów nie jest wcale wynikiem wojennej koniunktury. Gdyby nie wojna, obie części pierwsze cyklu może by nawet wcześniej ujrzały światło dzienne.

— Zatem dopiero pani twórczość powojenna tłumaczy pisarstwo przedwojenne; osadza je na zrozumiałym i szerokim tle.

— No tak! Wobec „Martenów" nabiera należytego sensu i „Pierwsza krew" i „Tajemna przemoc" z tak pozornie odległymi od siebie tematycznie opowiadaniami. Jeśli kiedyś uda mi się zamknąć i wypełnić ten cały cykl, każda z nowel „Tajemnej przemocy" będzie uplasowana w zupełnie wyraźnych ramach czasowo - formalnych i staną się jasne wszelkie między nimi powiązania. To są przecież właśnie ci „skuci".

— Pozwolę sobie uczynić jedną uwagę. We wszystkich pani książkach jest więcej skutych aniżeli wolnych. Właściwie wolnych nie ma wcale. W „Tajemnej przemocy" wszyscy są jakimiś i czyimiś niewolnikami. W „Martenach" zaś pokazała nam pani wprawdzie ruch ku wolności, ale zaraz w tomie, który nazywał się przedtem „Pierwsza krew", znowu zakuwa pani dawnych wolnych. Czy nigdy nie ma wolnych — tylko dążący ku wolności?

— Cóż ja mogę na to poradzić? Tak jest w rzeczywistości. Nie jest pan widać uważnym czytelnikiem moich książek, skoro w „Buncie Kamila Martena" nie znalazł pan wytłumaczenia i zarazem odpowiedzi na swoje pytanie...

Nie ma innej Ireny Krzywickiej! Od „Pierwszej krwi" do „Buntu Kamila Martena" Krzywicka posługuje się stale tą samą manierą pisarską. Jest nią malowanie charakterologicznych portretów. Akcja powieści tocząca się powoli, stosunkowo nikła, możliwie stłoczona na niewielkiej (w każdym tomie) przestrzeni czasu, wydaje się tylko dodatkiem, pretekstem do bogatego, nieustannie dopełnianego i odświeżanego obrazu psychicznego. Gdy opowiadania zebrane w „Tajemnej przemocy" są jakby charakterowymi miniaturami — to oba tomy Martenów mają zakrój jakiejś galerii obrazów, gdzie wystawiono płótna kilkunastu osób malowanych w różnych okresach i epokach ich życia. Fabuła powieści jest dla tej autorki tylko kanwą obszernej introspekcji psychologicznej, ściślej — nie tyle psychologicznej, co charakterologicznej.

— Gdy czyta się pani „Martenów" otacza nas raptem jakiś czar minionej, choćby nawet niezbyt szczęśliwej przeszłości. Pozwolę sobie na niedyskrecję i zapytam panią: Czy urok ten był zamierzony?

— Nie bardzo. A raczej zupełnie nie! Zna pan wiersz Tuwima: „Temporis acti laudatorzy
I wy — dla których dziś to cud,
Nie było lepiej — nie jest gorzej
Draństw nie przybyło, ani cnót..."

— Nie jestem przeszłości taką **laudatorką.** Przeszłość tamta wydawała mi się ohydna. To czasy moich rodziców — były dla mnie skute — gdy ja pragnęłam być właśnie wolna. Nie chciałam być piewczynią ich minionych uroków — może po trochu sędzią... a może właśnie historykiem — i to sumiennym a surowym. Czy mi się to w pełni udało? Orzec będę mogła dopiero po reakcjach, jakie wywoła **cały** cykl, a na to musimy trochę poczekać.

— A poza „Martenami"?

— Życiorys mego teścia; może przeróbka mego scenicznego widowiska „Życie mimo wszystko", trzyaktówki dziejącej się w zburzonej Warszawie wiosną 1945 roku, która doczekała się wprawdzie książkowego wydania we Francji (po polsku) i przed kilku dniami była w całości odczytana w radio paryskim (po francusku), ale która przed zaprezentowaniem się na naszych scenach musiałaby ulec wskutek zmian rzeczywistości dokonanych między rokiem 1945 a 1948 ogromnej i zasadniczej przebudowie. No i bieżąca publicystyka — teatralna i literacka.

Kazimierz Koźniewski

1) Irena Krzywicka. „Tajemna przemoc". „Awir". Katowice, 1947; str. 176.

2) Irena Krzywicka. Rodzina Martenów". Cz. I. „Skuci i wolni". Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik". 1947; str. 190.

3) Irena Krzywicka. „Bunt Kamila Martena". Cz. II. „Skuci i wolni". Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1948; str. 190.

JERZY ZAGÓRSKI

KONIE Z GRAND PALAIS

Radość moja jest żono jak zielone konie,
Które jak bukiet śniedzi, lub jak kwiatów rozrzuty
Wzrok na szczyty wielkiego pałacu przez chmurne pogonie
Wiodą.

Miłość moja jest żono jak zielone konie
A życie i śmierć jak postacie które prostym dłutem
Artysta z nicości wydarł. Tak nad prochem wionie
Młodość.

Smutek mój też jest żono jak zielone konie.
Posągi te jak płomień zdają się zakuty.
Ogień zastygł w metalu lecz pod śniedzią płonie.

O sztuko, człowiek do ciebie powraca jak zatrwożone dziecię,
Przechodzi pod chmurą, pod gmachem, dłonią wzrok przesłania
Próżne jest wędrowanie. Nic prócz wędrowania
Poecie.

A gdy wędruje razem pod rękę dwoje ludzi
Mijają plac i zamek, stodołę i pałac.
Poznają serca bliźnich, aż gorycz wspaniała
Obudzi

W nich wiedzę o ludziach i gmachach, kwiatach i posągach
Nad którymi czas twardy swój pochód przeciąga.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

WIERSZE Z OBCZYZNY

O pracy

Dźwiga się moje miasto z okrutnego kurzu,
a ja dłonie mam zwiędłe i stare,
bo nie mogę, bo nie umiem
przełamać dali.

Więzi mnie tu kłamstwo fałszywe —
a tam — domy powstają z kamienia,
a tam — dźwiga je ludzka miłość
z cierpienia.

Obcy dzień

Parę listków, zdławionych zimnem
drży od wiatru. A kilka drzew —
jak suchym pędzlem, dotkniętych seledynem
wznosi w niebo jeszcze zimowy gniew.

Stulam ręce podobne listkom
stulam serce, jak skrzydła anioł —
i to będzie już chyba wszystko
co mi mówi o wiośnie w Anglii.

Muranowo — Muzeum im. Fiodora Tiutczewa

Fiodor Tiutczew — według dagerotypu z około 1840 r.

Wśród muzeów o charakterze specyficznie literackim, funkcjonujących w samej stolicy radzieckiej i jej okolicy, znaczną popularnością cieszy się Muranowo, była siedziba wiejska rodziny poety i dyplomaty Fiodora Tiutczewa (1803 — 1873), gdzie w r. 1920 stworzono muzeum jego imienia. Muranowo, odległe o kilkadziesiąt kilometrów od Moskwy, na tle malowniczego krajobrazu, intymnie odzwierciedla twórczość i życie poety, jego przodków i otoczenia, a w pewnej mierze i styl epoki, jej kulturę materialną w architekturze, sprzęcie, porcelanie, malowidłach itp. Od samego powstania muzeum, które zwłaszcza latem stanowi cel licznych wycieczek — dzielnie nim kieruje jako dyrektor, obecnie już wiekowy wnuk poety, Mikołaj Tiutczew, zaś prawnuk jego, młody literat Kirył Pigarew, stopniowo opracowuje i publikuje nagromadzone w archiwum muranowskim rękopisy i materiały epistolarne dawnych właścicieli tego niewielkiego majątku.

Wyczerpującą bibliografię tych prac i wydawnictw, jak i szczegółowy obraz dziejów oraz losów Muranowa zawiera świeżo wydana monografia pióra K. Pigarewa *) dedykowana dyrektorowi muzeum.

Muranowo w początkach zeszłego wieku było własnością Elżbiety Engelhardtowej, córki bogacza moskiewskiego P. Tatiszczewa, znanego działacza masońskiego rosyjskiego. Ze starszą jej córką ożenił się w r. 1826 poeta Eugeniusz Boratyński (1800 — 1844), jeden z przyjaciół — Moskali Mickiewicza — Puszkin trafnie go scharakteryzował określeniem „Hamlet Boratyński".

Po śmierci teścia Engelhardta w roku 1836 Boratyński został gospodarzem majątku i wybudował wtedy dom, w którym się mieści obecnie muzeum im. Tiutczewa, przechowujące jednocześnie wiele pamiątek po Boratyńskim. Po jego śmierci Muranowo stało się własnością młodszej Engelhardtówny, małżonki Mikołaja Putiaty, bliskiego przyjaciela poety Tiutczewa, a później drogą schedy przeszło na syna Tiutczewa ożenionego z córką Putiaty.

Książka Pigarewa dostarcza obfitych danych o wszystkich tych osobistościach, mamy tu wyjątki z ich listów a niekiedy i wierszy jak również wyjątki z pism mniej lub bardziej znakomitych pisarzy, których nieraz gościło Muranowo zasługujące w pewnej mierze na miano gniazda literackiego. Poczet rozpoczyna znany poeta — partyzant z lat wojny napoleońskiej Denis Dawydow, a za czasów Putiaty odwiedza Muranowo sam Gogol, stary Sergiusz Aksakow i jego syn Konstanty, poeta Włodzimierz Odojewski i kilku innych. Z wszystkich tych stosunków i przyjaźni wytworzyło się bogate archiwum autentyczne, o znaczeniu nie tylko osobistym czy rodzinnym; obejmuje ono pięć głównych działów: dział Boratyńskiego, Putiaty, Iwana Aksakowa, Fiodora Tiutczewa i całego jego rodu. Kilka listów Boratyńskiego z tego archiwum znajdujemy w monografii Pigarewa.

Poza tym Pigarew szczegółowo zaznajamia czytelnika z bogatym i cennym zbiorem ikonograficznym muzeum (obrazy olejne, akwarele, sztychy), który znacznie przekracza ścisłe grono osób, rdzennie lub bliską przyjaźnią z Muranowem związanych. Wśród rysunków treści nieportretowej zwraca między innymi uwagę świetny szkic Aleksandra Orłowskiego, którego obrazy często figurują w dawnych rosyjskich kolekcjach sztuki graficznej.

Liczne w ostatnich czasach przekłady polskich wierszy Fiodora Tiutczewa świadczą o wzrastającym zainteresowaniu ujmującą postacią poety, który za życia był zapoznany i dopiero w naszej dobie sławy się doczekał. Czciciele jego zapewne wdzięczni będą za niewielką książkę Pigarewa, tak wszechstronnie informującą o muranowskim muzeum im. Tiutczewa.

Paweł Ettinger

*) Kirył Pigarew. Muranowo. Moskwa 1948. Wydaw. „Moskowskij Raboczyj". 16; str. 156 z ilustr. Nakład 15.000 egz.

W poprzednim 27 (188) numerze „Odrodzenia" z dnia 4 lipca 1948 roku: **Jerzy Borejsza:** Na udeptaną ziemię. — **Bohdan Czeszko:** Koniec edukacji. — **Vilem Zawada** (przełożył — **K. A. Jaworski**)**:** Porzucona. — **Tadeusz Breza:** Jak tu uciec od polityki? Kongres w Kopenhadze. — **Wiktor Woroszylski:** Pieśń o kompanii wschodnio - azjatyckiej. — **Kazimierz Andrzej Jaworski:** Spotkania czeskie. — **Wojciech Żukrowski:** Ręka ojca.— **kjw:** 3 kwietnia 1949. Sprawy. — Z teki karykatur Karola Ferstera. — **Zbigniew Turski:** „Swantewit" Perkowskiego w Poznaniu. — **Jacek Frühling:** Pan Puntila i jego parobek. — **Roman Bratny:** Jak wyzwisko. — **Anna Z. Linke:** Wystawa w Muzeum Narodowym. — Książki: Beletrystyka („Piórkiem Flamenga" — Wojciecha Żukrowskiego; „Nieurodzaj" — Kazimierza Zenona Skierskiego; „Całun" — Bohdana Pepłowskiego; „Pod blachą" — J. I. Kraszewskiego). — Poezja: (Siódmy i ósmy zeszyt „Arkusza Śląskiego". — **Zygmunt Mycielski:** Notatnik muzyczny. Koncert eliminacyjny, zakończenie sezonu Filharmonii Warszawskiej. — Film: **Jerzy Płażewski:** „Casablanca", film amerykański. — Korespondencja: **Sławomir Folfasiński:** dr Ignacy Schreiber — zapomniana ofiara wojny. — **Stanisław Jerzy Lec:** Nie jestem pięknym modrym Dunajem — Camera obscura. — 17 ilustracji. — 8 stron.

Szekspir na półmisku

Cokolwiek nowego wnosi dyskusja w sprawie repertuaru ochotniczych zespołów świetlicowych, jedno jest pewne: nareszcie się o tym mówi, nareszcie kruszeje i pada ten mur obojętności — zdumiewającej doprawdy — z jaką społeczeństwo starsze i bardziej wykształcone, ba, nawet artyści różnych branż, odnosili się do tego żywotnego zagadnienia naszej przyszłości.

Wśród kilku głosów, jakie się na ten temat podniosły w „Kuźnicy", najbardziej mnie zastanowił głos Seweryna Pollaka, typowy głos teoretyka. Cóż to jest bowiem taki ochotniczy zespół świetlicowy? Gromadka ludzi, ciężko pracujących fizycznie, którzy wyobrazili sobie, słusznie czy niesłusznie, że mają jakiś odtwórczy talencik i czują zainteresowanie sztuką. Chcieliby coś robić, zabawić się jakoś lepiej, kulturalniej, coś przy tej okazji poznać i dogodzić swoim wewnętrznym, a mało sprecyzowanym zachciankom. Jest to więc już wiele: szczere chęci. Ale co więcej? Czy wszystkim wiadomo, że np. wśród młodzieży SP bywa do 50 proc. analfabetów? Że wiele zespołów dorosłych pracowników fizycznych nie nawykło w żadnej formie do pracy mózgu? A przecież i wśród nich może być jakiś talencik czy talent, bo nic to nie ma wspólnego z poziomem umysłowym i nabytą wiedzą, że i oni mają chęć zabawić się w sposób godny i nowy, a nie chodzić do szynku na wódkę? I że w każdym obozie SP i we wszystkich zespołach pracowniczych są świetlice, organizują się artystyczne, śpiewacze, teatralne czy taneczne zespoły i że my właśnie chcemy, żeby się takie zespoły wszędzie realizowały, że przykładamy do tego wszystkie nasze siły i dążymy całą mocą serc?

W artykule S. Pollaka podyktowanym — nie wątpię — najszczerszą troską o przyszłość naszych zespołów są więc kardynalne błędy. Są w nim pozorne, efektowne „prawdy", którym nikt nie śmie przeczyć w obawie kompromitacji, a które częstokroć są po prostu tylko źle sformułowane.

Więc najpierw pisze Pollak: „Nie ma i nie może być odrębnej sztuki dla robotników, jak nie może być odrębnej sztuki dla buchalterów czy dyrektorów przedsiębiorstw miejskich". Zdawało by się, że protestować nie wypada, a tymczasem tutaj owszem, trzeba. Wprawdzie nie ma i nie może być odrębnej sztuki dla robotników i dla dyrektorów, jednak dlatego tylko, że to nie fach decyduje, ale zamiłowanie i przygotowanie. Oto właśnie typowy „przesąd burżuazyjny" Są robotnicy i są dyrektorzy przedsiębiorstw miejskich, z którymi można rozmawiać o sztuce i są tacy robotnicy i tacy dyrektorzy, z którymi o sztuce rozmawiać nie podobna. Zależy to nie od zawodu, jaki się wykonuje, ale od stopnia wrażliwości artystycznej, oczytania czy „opatrzenia" i minimalnego choćby przygotowania, a na to żaden zawód nie ma monopolu (wyłączam oczywiście zawody artystyczne, choć i tu na palcach można policzyć literatów, którzy by mogli mówić o muzyce, czy plastyków, którzy czytują książki). I teraz i zawsze wcale nie wśród klas posiadających trzeba było szukać miłośników i znawców sztuki.

Jeżeli więc prawidłowo postawimy to zagadnienie, wyglądać ono będzie tak: nie ma i nie może być odrębnej sztuki dla robotników i dyrektorów (chociaż i do tego tematu chciałabym kiedyś powrócić, jeśli mi Redakcja pozwoli, bo z chwilą powstawania powieści „branżowych" stają się one dla nie-branżysty niezrozumiałe z powodu nadmiaru szczegółów technicznych), trzeba jednak w sposób rozsądny i umiejętny rozwiązać sprawę zagadnienia sztuki dla ludzi, którzy się z nią dotychczas nie stykali. Nie dotyczy to zapewne muzyki, bo tu już z góry odpadają chętki imitatorskie, może i obraz nawet obroni się przed nieprzygotowanym widzem barwną plamą i harmonijnym rozmieszczeniem brył — ale z literaturą będzie inaczej. Literatura musi być umiejętnie dozowana, choć nawet analfabeta może być wrażliwy na balladę, jeśli założymy, że ma w minimalnym choćby stopniu zdolności abstrakcyjnego pojmowania i pracy mózgiem.

Idźmy dalej. S. Pollak pisze: „Czy należy wyrzec się repertuaru „odzwierciedlającego zmagania klasy robotniczej w odbudowie... (to oczywiście z ironią, parodiując zalecenia KCZZ) i ograniczyć się wyłącznie do interpretacji utworów o istotnym poziomie artystycznym?" I odpowiada sam sobie „Tak jest".

I znów pozornie ma rację. Po co dawać przypadkowo skleconą, niezdarną sztuczkę o odbudowie fabryki, kiedy mamy Słowackiego i Szekspira? Więc już najlepiej powiem od razu, aby nie było nieporozumień: jestem przeciwniczką klasycznego repertuaru, a przynajmniej uważam, że należy korzystać z niego jedynie w pewnym, i to umiarkowanym procencie.

Pomyślmy — czego człowiek szuka w książce? Czy tylko zaspokojenia potrzeb estetycznej natury? Bynajmniej. Literatura, a ściślej powieść czy sztuka teatralna, spełnia bardzo różnoraką rolę. Szuka się w niej nie tylko zadowolenia, wynikającego z bezbłędnej konstrukcji, dźwięcznych słów czy harmonijnej kadencji zdania, ale i analogii losów bohatera z własnym życiem, wzruszenia, bicia serca, wskazówek na przyszłość, rozszerzenia horyzontów, wzbogacenia się o cudze, inaczej niezrozumiałe istnienie i doświadczenie. Wtórne, powiecie, działanie? Oczywiście. Ale negować je było by śmiesznością. Byłam niedawno na dyskusji w gronie literatów. Pada nazwisko Szekspira i wszyscy milkną z uszanowaniem, zalega uroczysta cisza, kołkiem stają języki. Tłumaczyłam „Białą diablicę" Webstera; prawdziwą rozkoszą było przekopywanie się ze słownikami w ręku przez kulturalne nawarstwienia ubiegłych wieków i najodleglejsze slangi, ale proszę się przyznać z ręką na sercu: przecież cztery piąte w Szekspirze (w Websterze może mniej), to anachronizmy, sprawy, pasjonujące szesnastowiecznego widza, ale dla nas tajemnicze, rzeczy, do których musimy podchodzić ze słownikiem i to jakim, a nawet z kilkoma słownikami, ze znajomością historii i ówczesnego obyczaju. I tym ma się karmić dyrektorów fabryk i robotników, młodzież Służby Polsce i chłopów? Wołam wielkim głosem o odrobinę zdrowego sensu i przysięgam sobie, że na następne zebranie przyjdę z tomem Szekspira i odczytam na głos „Koriolana". Muchy będą spadać ze ścian, nie tylko moi dystyngowani słuchacze z krzeseł. Jeżeli zaś mówią coś przeciwnego, to widać nigdy nie mieli Szekspira w ręku.

I jeszcze jedno. Zgadzam się, że można być pod czarem poetyckiego utworu nawet wtedy, jeśli się go „nie rozumie", bo utwór poetycki nie zawsze apeluje do władz rozumu (a jednak proszę sobie przypomnieć odę Shelleya „Do intelektualnego piękna"), źle jest jednak, jeżeli się to stale powtarza i prowadzi do tego, co Benda na ostatnim swoim odczycie w Warszawie nazywa sztuką aintelektualną.

Czytelnik przyzwyczaja się, że tylko to jest w sztuce piękne czy godne podziwu, czego się nie rozumie, powstaje kult mglistości i niezrozumialstwa, gotów nam przepaść cały Mickiewicz!

Nie, to nie średniowiecze. Nie pozwalamy sobie zamknąć ust autorytetami.

Niech współczesne utwory powstają tak, jak powstawały utwory Szekspira: na gorąco, aluzyjnie, ludowo, w ciągu paru tygodni, z całym pieprzem przekleństw, wykrzyków, satyry społecznej i politycznej, z fajerem. Że nie Szekspir je pisze? Zaczekajcie, może i Szekspir się zjawi. A tymczasem boję się, że przepędzi się jego ducha, przywołując codziennie i podając na półmisku wszystkie jego utwory.

Wanda Melcer

Odkrywamy Hilmara Wulffa

(Dokończenie ze str. 1)

szczerze, nie tylko obiadu, ale i okazji wniknięcia nieco w obyczaje domu. Siadamy do rozmowy w dużej izbie - świetlicy przeciętej ukośnie dziwnymi schodami - drabiną, prowadzącymi na górkę, do facjatki, która jest pracownią pisarską Hilmara Wulffa.

Najosobliwsze chyba ze wszystkich znanych mi mieszkań „literackich". Natłok sprzętów i przedmiotów, na pewno używanych na codzień, choć w sumie robią wrażenie jakby fragmentu muzeum etnograficznego. Kominek, oczywiście na ścianach dużo naczyń majolikowych i fajansowych, pośrodku izby jakaś własnego pomysłu konstrukcja z belek i luźno ułożonych cegieł, pełna doniczek z zielonymi roślinami. Trochę to bodaj przypomina przedwojenne domostwo Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym, tylko że tam był „dwór" niemalże pałac wiejski, w porównaniu z tą rybacką chatą, w której nie ma nic na pokaz, wszystko niemal służy powszedniemu użytkowi, a tylko jak gdyby samo komponuje się w pełną intymnego uroku scenerię ludzkiego losu.

Rozmawiamy, jak zwykle w takich wypadkach, nieco chaotycznie. Naprzód my trochę rozpytujemy: o warunki pracy, o przeszłość literacką, o stan ruchu wydawniczego w Danii. Jak domyślaliśmy się od razu, Hilmar Wulff opiera egzystencję swoją i swej rodziny głównie na zarobkach literackich, w każdym razie w jego budżecie znaczą one więcej niż dochód, nikły zapewne z ciężkiej i ryzykownej pracy rybackiej. Mimo to, trudno było by powiedzieć, że Wulff jest przede wszystkim człowiekiem pióra; na pewno nie ma w sobie nic z typowego literata - zawodowca, jego kontakt z papierem do pisania nie wynika z nałogu czy rutyny profesjonalisty, jest w pełni sprawą autentycznych impulsów wewnętrznych. Jeśli jego książki tłumaczone są za granicą i wieńczone poważną nagrodą literacką w kraju, to — rzecz prosta — nie umniejsza to w niczym ich wagi jako zjawiska dość odrębnego i godnego uwagi nie tylko z punktu widzenia krytyczno-literackiego.

Okoliczności i charakter rozmowy uniemożliwiają nam wdanie się w bardziej intymne sprawy tego rzadkiego kompleksu psychicznego, jaki wyczuwamy w Hilmarze Wulffie, chociaż — jako pisarzy — to właśnie zaciekawia nas najmocniej. W dodatku nasz gospodarz nie robi wcale wrażenia człowieka łatwego do intymnych zwierzeń. On sam zresztą też jest ciekaw tego i owego. Wypytuje o przebieg kongresu PEN-Clubów, jest to zresztą ciekawość raczej kurtuazyjna, Wulff okazuje się bardzo sceptyczny w ocenie roli PEN-Clubu jako organizacji pisarzy, powołanych do orędownictwa kulturze i pokojowej współpracy narodów. Z ożywieniem natomiast opowiada nam o nowej, utworzonej niedawno Międzynarodowej Organizacji Pisarzy, różniącej się od PEN-Clubu wyraźniejszym akcentowaniem stanowiska ideowego w duchu otwartej walki o pokój i postęp społeczny. Obaj z Iwaszkiewiczem wyrażamy zupełne zdziwienie: nic nam dotąd w Polsce nie wiadomo o powstaniu tej organizacji. Okazuje się, że posiada ona już swoje sekcje narodowe we wszystkich krajach skandynawskich i bodajże w Związku Radzieckim. Okazuje się dalej, że w niedługim czasie jeden z czołowych aktywistów nowej organizacji udaje się w podróż do Polski, Węgier, Czechosłowacji i innych krajów demokracji ludowej dla nawiązania kontaktów ze środowiskami literackimi tych krajów. Wulff, odnosimy wrażenie, jest bardzo przejęty tą sprawą, wręcza nam jakieś statuty, konspekty, wycinki z gazet — niestety, wszystko w języku duńskim...

Szybko upływają minuty, musimy wracać do Nakskov, w „Domu Polskim" czekają na nas. Bez ceremonii uprowadzamy Hilmara Wulffa i w kwadrans niespełna zjawiamy się z nim na sali wypełnionej duńskimi Polakami. Stwierdzamy z przyjemnością, że Wulff cieszy się wśród nich serdecznym zaufaniem i przyjaźnią. Bagatela, napisał przecież o tych ludziach całą powieść! Są z tego trochę dumni — i chyba mają prawo do tej dumy.

A my? Hilmar Wulff siedzi przed nami w pierwszym rzędzie, ale nie zna przecież polskiego, możemy mówić swobodnie. No więc mówimy, w przemówieniach naszych pamiętamy i o nim, nawiązujemy do jego obecności i do jego dzieła. Jedno tylko pomijamy wstydliwie milczeniem: że duńska powieść o Polakach, przełożona na siedem języków obcych, nie doczekała się jeszcze przekładu — polskiego! Że w ogóle nie wiedzieliśmy o niej dotąd nic, zupełnie nic!

Pominęliśmy to milczeniem tam, w Nakskov. Ale tu w kraju, można i trzeba o tym mówić głośno — tak, żeby słychać było w naszych domach wydawniczych.

Rozstając się z Hilmarem Wulffem zapraszamy go na sierpień do Polski na Kongres Intelektualistów we Wrocławiu. Przyjedzie. Myślę, że będzie mógł przy tej okazji podpisać umowę o polski przekład „Vejen til Livet"...

Leon Kruczkowski

Sprawy

Przepowiednia na rok 1950

Rubryką, która przy uważniejszej lekturze każdego nasycić musi optymizmem, jest prawie co tydzień pojawiająca się w „Kuźnicy" nota pod tytułem „Zasługi wydawców". Pomiędzy zasługi liczy bowiem wydawcom „Kuźnica" wszystkie ich poczynania, które mieszczą się w poważnie pojętym planie odbudowy książki polskiej, wszystkie częściowe reedycje klasyków polskich lub nowe przekłady zagranicznych, wreszcie — już rozpoczęte lub zapowiedziane wydania zbiorowe naszych wielkich pisarzy. Pisząc o optymizmie, na myśli mam tę ostatnią porcję zasług.

Bo zważmy: już rozpoczęto wydania zbiorowe, z porządnie i krytycznie opracowanym tekstem Żeromskiego, Prusa, Orzeszkowej, Dygasińskiego, na jesień „Czytelnik" zapowiada pierwszą serię narodowego wydania dzieł Mickiewicza; w daleko zaawansowanym przygotowaniu znajdują się wydania zbiorowe Sienkiewicza i Wyspiańskiego. W tym stanie rzeczy można na chwilę, w myśl niedawnej zapowiedzi, powołać do działania wydział proroków i zaryzykować przepowiednię, że w roku 1950, a więc w pięć lat po zakończeniu wojny, będziemy posiadali nowe edycje pism Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Prusa, Orzeszkowej, Dygasińskiego, Sienkiewicza, Żeromskiego, Reymonta, Wyspiańskiego — nawet wszystkich pisarzy objętych dekretem o dwunastu autorach nie muszę wymieniać, by dojść do wniosku dalszego. Przyjmijmy mianowicie, że w roku 1950 tylko połowa tych wydań zbiorowych będzie ukończona, druga natomiast połowa będzie się dopiero ukazywać, i tak pozostaję optymistą przez prosty rachunek i porównanie z tym, ile owych wydań posiadaliśmy w pięć lat po zakończeniu poprzedniej wojny? W roku 1923, nawet według traktatu ryskiego licząc w roku 1926? ZERO, duże zero. W tym zerze plenią się korzonki mojego optymizmu.

Sceptyk powie w tym miejscu, że prace wydawnicze mamy ułatwione przez to, ponieważ korzystamy z doświadczeń i dorobku edytorskiego dwudziestolecia. Niejedno z tych wydań już wówczas się ukazało, poprawne teksty Mickiewicza gotowały się przez lat kilkanaście. Zgoda, odpowiada prorok, albowiem tylko w tym fakcie, że niczego nie zatracamy z filologicznego dorobku dwudziestolecia, z jego zdobyczy i porażek, jest dalsze źródło mojego optymizmu. Bo taka ciągłość stanowi najprostszy i najbardziej oczywisty obowiązek historii literatury. Jeżeli ponadto przedstawić sceptykowi rachunek wyjściowy naszych strat w technicznym wyposażeniu drukarń, rachunek strat personalnych w dziedzinie pracowników naukowych, że już o innych pozycjach tego rozliczenia zamilczę, mój optymizm przy takim rachunku nie traci ani złotówki na swoim kursie.

W imieniu roku 1950 chciałbym się jednak upomnieć o dzieła dwóch pisarzy, których w bilansie poczynających się wydań zbiorowych nie może zabraknąć: o dzieła Cypriana Norwida i o pisma wszystkie Aleksandra Fredry. Norwid, który za życia, jeżeli chodzi o los jego pism, był wyjątkowym pechowcem, pozostał nim po śmierci. Dwukrotnie rozpoczynał Miriam-Przesmycki edycję jego dzieł, dwukrotnie przerwała ją wojna światowa. Stąd przesądni twierdzą, że zapowiedź nowego wydania dzieł Norwida jest jak kometa wieszcząca nadejście nowej wojny. A ponieważ trzecią wojną światową tak długo już nam grożą, że prawdopodobnie Norwid na jej przyśpieszenie lub opóźnienie nie zdoła wywrzeć wpływu, możemy na rok 1950 spokojnie o jego pismach pomyśleć. Dlaczego?

Bo dwie rozpoczęte przez Miriama edycje, chociaż różnią się mocno swoją zawartością, nie zawierają, nawet razem na półce postawione, całego dorobku poety, bo do filologicznej wierności podawanych przez Miriama tekstów trudno mieć szczególne zaufanie, bo Norwid w okresie dwudziestolecia bardzo wyraźnie zaczynał wypierać Krasińskiego z grona trzech największych poetów XIX stulecia — tych „bo" mógłbym wysypać jeszcze sporą wiązkę. Ich cel jest jeden: Norwid wtedy dopiero przestanie być hermetycznym żerowiskiem, kiedy jego dzieła przestaną być hermetycznym składem przeróżnych wydań i druków, w których tylko garstka wtajemniczonych się orientuje.

Jestem z pełnym uznaniem dla dokonanego przez Jastruna, a ogłoszonego przez „Książkę" wyboru poezyj Norwida, szczególnie dla wstępu w tym wydawnictwie, ale Norwid to grubo więcej aniżeli Berwiński, Goszczyński czy Wacław Potocki, ażeby ta jedna pozycja wydawnicza o charakterze wyboru splacała nasz dług filologiczny wobec jego dorobku. Dlatego w programie zbiorowych wydań klasyków poezji i prozy polskiej nie może zabraknąć pism Norwida. Skoro zaś napisaliśmy, że ciągłość polega również na wyciąganiu nauk z porażek, Norwid dla tego twierdzenia jest doskonałym przykładem. Oprócz porażek także i krzywd, ponieważ niedźwiedzią przysługą i krzywdą było wydanie Pimego; krzywdą, którą zmażą dopiero „Pisma zebrane Cypriana Norwida".

W obrachunku roku 1950 nie może również zabraknąć Fredry. W okresie dwudziestolecia doczekał się Fredro jedynie bardzo solidnego wydania swoich komedii przeprowadzonego w latach 1926—27 przez E. Kucharskiego. Pomijając nawet już to, że po latach przeszło dwudziestu wydanie Kucharskiego stanowi rzadkość, Fredro to przecież nie tylko komediopisarz: to bajeczny gawędziarz i pamiętnikarz, uroczy hrabia Causeur, jak przypominając w niedawnym warszawskim spektaklu „Odludki i poetę" nazwał go Stefan Flukowski. Fredro to autor „Trzy po trzy", to liryk ponadto i twórca zjadliwych a nienagannych w obróbce stylistycznej aforyzmów („Zapiski starucha").

Gdzie je ma przeczytać młody krytyk literacki, młody miłośnik naszego piśmiennictwa? Luksusowe, na kredowym papierze, wydanie „Trzy po trzy" z końca tamtej wojny (H. Mościcki i A. Grzymała-Siedlecki) to rarytas bibliofilski, a znać „Zemstę" a nie znać „Trzy po trzy", to tak jakby z Mickiewicza znać „Pana Tadeusza", a nie słyszeć o „Księgach narodu i pielgrzymstwa". Bo w proporcji dorobku pisarskiego Fredry, naturalnie nie ideologicznie, miejsce tego pamiętnika jest podobnie niezastąpione.

Jedyne pełne, w trzynastu tomach (ale niezupełne, wypłynęły później nieznane teksty poetyckie) wydanie pism Fredry pochodzi z roku 1880 i jeszcze sam autor obmyślał je do druku. Stare to dzieje, czas by im dopisać filologiczny ciąg dalszy. Dlatego w programie wydań zbiorowych klasyków naszej literatury nie może zabraknąć również Fredry.

Na tym pierwsze proroctwo nowej serii zamykamy, oczekując teraz już tylko nadejścia roku 1950.

kjw

Notatnik muzyczny

Jeszcze o eliminacji Chopinowskiej, pierwsze publikacje IFC

W poprzednim (27-188) numerze „Odrodzenia" podałem punktację, będącą wynikiem pierwszego turnusu pianistycznego w sali YMCA. Po tych zawodach siedmiu pianistów przystąpiło do drugiej tury, tym razem w sali „Romy", by wykonać z orkiestrą Filharmonii Warszawskiej pod dyrekcją Tadeusza Wilczaka pierwsze części z koncertów e-moll i f-moll Chopina. W wyniku tych zawodów jury ustaliło następującą kolejność:

1. Smendzianka Regina
2. Szymonowicz Zbigniew
3. Maciszewski Waldemar
4. Hesse-Bukowska Barbara
5. Kerner Tadeusz
6. Kędra Władysław
7. Żmudziński Tadeusz

Po wykonaniu programu i posiedzeniu sądu konkursowego prezes Instytutu Fryderyka Chopina, A. Wieniawski, wręczył uczestnikom dyplomy i nagrody. R. Smendzianka otrzymała nagrodę Ministerstwa Spraw Zagranicznych w kwocie 50.000 zł., odlew ręki Chopina od Instytutu Fr. Chopina i radioodbiornik od Polskiego Radia. Zb. Szymonowicz otrzymał nagrodę IFC w kwocie 20.000 zł i odlew ręki Chopina. W. Maciszewski otrzymał nagrodę Związku Zawodowego Muzyków R. P. w kwocie 10.000 zł i odlew ręki Chopina od Instytutu.

Jako najmłodsza, dopuszczona do eliminacji uczestniczka konkursu, B. Hesse-Bukowska otrzymała 20.000 zł od Związku Artystów i Kompozytorów Scen („Zaiks") — oraz statuetkę Chopina.

Wreszcie junior spośród ogólnej liczby zawodników, Adam Harasiewicz., otrzymał nagrodę Komitetu Wykonawczego Roku Chopinowskiego w kwocie 20.000 zł. Nawiasem dodam, że w ostatnim „Notatniku" mylnie zostało wydrukowane nazwisko jego profesorki a nie profesora, a więc winno ono brzmieć „Stojałowskiej" a nie „Stojałowskiego".

Rok chopinowski da nam jeszcze nieraz znać o sobie, przed swym urzędowym rozpoczęciem. Na razie mamy jedną z pierwszych jego zapowiedzi, pierwszą serię, złożoną z 36 kart pocztowych, wydanych przez IFC. Składa się na nią 7 portretów Chopina malowanych z natury i dagerotyp, co do którego dyskusja jest jeszcze otwarta: Chopin, czy nie Chopin? Tragiczna maska człowieka o twarzy nalanej i przymrużonych oczach. Kurtka jakby za wielka, przecząca znanym z wykwintu strojom autora mazurków. Myślę, że to naprawdę Chopin, ten człowiek inny, niż go przedstawia Miroszewski, Ary Scheffer, Kolberg, rysunek George Sand i sztych Dietricha. I, rzecz ciekawa, dagerotyp ten najbliższy jest romantyczno-dramatycznemu portretowi Eugeniusza Delacroix, znajdującemu się w Luwrze. Żółtawy w kolorze, a bolesny w wyrazie Chopin, widziany przez swego wielkiego przyjaciela, jest najbardziej podobny do tego, odnalezionego kilka lat przed ostatnią wojną dagerotypu. Czyżby transpozycja Delacroix była naturalizmem? Te same podpuchnięte oczy patrzą tu i tam. Karol Szymanowski nie mógł się oderwać od tej ostatniej „hipotetycznej fotografii" Chopina. Miał ją ciągle przy sobie i z nią wyjechał w ostatnią podróż, z której powrócił do grobowca na Skałce. Z kartki tej patrzy na nas ciągle — „Chopin — nie Chopin?" — zamyślony, zafrasowany, trochę, groźny i smutny, bardziej niedbały, niż go nam tradycja przekazała, prawie zrezygnowany.

Reszta pocztówek, to maska i rysunek pośmiertny Kwiatkowskiego, odlew ręki, dwa autografy, 5 zdjęć domku w Żelazowej Woli — która ciągle jeszcze czeka na właściwe swe przeznaczenie — uroczy kościół w Broczowie, w którym ochrzczono Chopina, widoki Warszawy z pierwszej połowy XIX wieku uzupełniają serię, w której nie brak też rodziców Chopina, portretu Elsnera, Marii Wodzińskiej, Delfiny Potockiej, George Sand i Paderewskiego. Wydane na niezbyt dobrym kartonie, są one miłą pamiątką i spełniają swe zadanie, popularyzując obraz Chopina, ludzi i miejsc z jego osobą związanych szeroko.

Z niecierpliwością oczekujemy pierwszych zeszytów zbiorowego wydania, które będzie koroną wydawnictw poświęconych Chopinowi. Obok wydania Mickiewicza będzie to najpoważniejsze wydarzenie na naszym rynku księgarskim, wydarzenie o skali międzynarodowej.

Zygmunt Mycielski

Czerwcowy numer „TWÓRCZOŚCI"

Ukazał się i jest wszędzie do nabycia (cena 120 zł) czerwcowy zeszyt miesięcznika literacko-krytycznego „Twórczość". Jego główną pozycję stanowi autentyczny pamiętnik mieszkanki Krakowa z okresu Wiosny dni 1848 roku, widziana i opisana przez „szarego człowieka". Ludów w tym mieście Lucyny Kraśnickiej. Jest to historia burzliwych

Dział prozy przynosi ponadto dwa arcydzieła nowelistyki rosyjskiej, a mianowicie „Zamieć" i „Poczmistrza" Puszkina w nowym przekładzie S. Pollaka.

Interesujący szkic o zmarłym w czasie okupacji Kazimierzu Przerwa-Tetmajerze, obfitujący w nieznane szczegóły biograficzne — daje Adam Grzymała-Siedlecki.

Wybitnie bogato przedstawia się dział recenzji z książek: K. Wyka, K. Kuliczkowska, S. Lichański, H. Markiewicz, J. Hulewicz omawiają książki: Buczkowskiego, Gałaja, Pogana, Mortona, Szymanowskiej, Boguszewskiej, Schabowskiego, Hertza oraz „Wspomnienia" Ludwika Krzywickiego.

Roman Zrębowicz porusza zagadnienia systematyki historii sztuki w rozprawie pt. „Problem modernizacji muzeów". Ze sprawami plastyki wiąże się również szkic prof. W. Molè o wystawie sztuki jugosłowiańskiej w Warszawie i Krakowie.

Dział poezji przynosi nowe wiersze Adolfa Sowińskiego, Zbigniewa Stolarka i Witolda Wirpszy.

TANIE KSIĄŻKI POPULARNO-NAUKOWE

UKAZAŁY SIĘ NOWE TOMY

Biblioteki Radiowego Instytutu Wydawniczego:

Nr 4/5 *Dr Witold Doroszewki,* prof. Uniw. Warsz. „ROZMOWY O JĘZYKU"; stron 240 Cena 300.— zł

Nr 6 *Wacław Bielecki* „EUROPA Z PROFILU". W krajach starej i nowej demokracji. Z rysunkami Antoniego Uniechowskiego; stron 200. Cena 200.— zł

Nr 5 *Witold Rybczyński* „CO TO JEST RADAR"; stron 48, rycin 14. Cena 80.— zł

Do nabycia we wszystkich księgarniach

RIW RADIOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

KLASZTOR PANIEN BERNARDYNEK

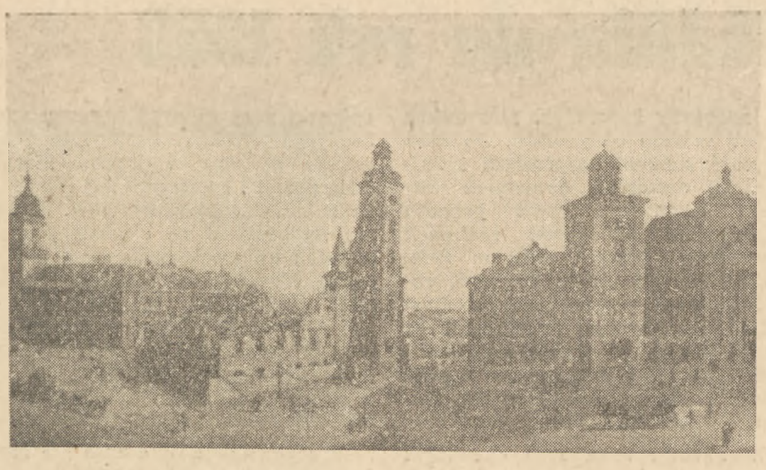

Przy zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i Placu Zamkowego, tam gdzie obecnie wre praca przy budowie tunelu na trasie W — Z, przez przeszło dwieście lat wznosił się kościół i klasztor Panien Bernardynek, późniejsze pierwsze warszawskie konserwatorium muzyczne. Poklasztorny gmach konserwatorium, w którym pobierał naukę Fryderyk Chopin, uległ rozbiórce w 1843 r., aby dać wylot nowowybudowanej ulicy Nowy Zjazd, oddanej do publicznego użytku dnia 24 października 1846 r. Rozbiórkę kościoła i klasztoru Panien Bernardynek utrwalili malarze warszawscy, między innymi Marcin Zalewski, Seydlitz, Podkowiński i Beluk ewicz. Obrazy ich zostały zapewne w większości zniszczone w czasie ostatniej wojny. Na zapytania naszych czytelników w związku z artykułem Stanisława Szenica „Stara Warszawa na trasie W — Z" w numerze 20 „Odrodzenia" z dnia 16 maja 1948 r. reprodukujemy obraz Beluk ewicza „Rozbiórka Klasztoru Panien Bernardynek".

stsz

FILM

ZAGUBIONE DNI

film amerykański

„Zagubione dni" nakręcono według powieści Jamesa Hiltona. James Hilton jest autorem umiejącym przemyślnie łączyć w swych dziełach elementy awanturniczej sensacji z mądrym, spokojnym spojrzeniem obserwatora i moralisty. Nic dziwnego, że zyskał sobie powodzenie i sławę i że wytwórnie hollywoodzkie dyskontują to powodzenie drogą filmowych przeróbek.

Czytając przed seansem bzdurne, jak zawsze, streszczenie z filmopolskiego programu można było dojść do nader pesymistycznych wniosków, takich mniej więcej: jeśli odarto tę powieść z jej literackich wartości, to film jest nie tylko głupi, ale i nudny.

Otóż właśnie, że nie. Trzej scenarzyści, którzy wzięli w obroty powieść Hiltona, dokonali pracy nie lada. Przetłumaczyli tę psychologiczną książkę na nieskazitelny język filmowy. W realizacji podkreślono — po trzykroć słusznie — nie momenty „dziania się", lecz „stawania się". Dzięki temu wiele scen wypadło lepiej niż w tekście (wizyta w szpitalu, zdemaskowanie incognita miss Hobson, zerwanie Kitty z Charlesem itd.).

Niemal nie odczuwa się obecności książki poza scenariuszem, tak dalece rzecz cała jest filmowa. Do takiej doskonałości w przeróbkach utworów literackich dążyliśmy w Polsce (przed wojną) kilkadziesiąt razy. Najzupełniej bezskutecznie. Trudno przewidzieć, jak będzie po wojnie.

Ale ten film, jak żaden może inny, nadaje się na przedmiot seminarium dla scenarzystów. Można by z jego pomocą, no i z pomocą książki Hiltona, dać odpowiedź na pytanie: jak przetłumaczyć bezbłędnie powieść na język filmu?

Gra aktorów? Właściwie poza dwójką czołowych bohaterów nie ma innych ról w tym filmie. Ale właśnie ta dwójka: Greer Garson i Ronald Colman (zwłaszcza Colman! Colman!) jest wręcz doskonała. Dwa słońca — bez plam.

Jerzy Płażewski

»PŁOMIEŃ NOWEGO ORLEANU«

film amerykański

René Clair i Marlena Dietrich — mój Boże! On, uważany słusznie z wieku i urzędu za pierwszego reżysera świata. Ona, mówiąc ostrożnie, jedna z najbardziej rutynowanych gwiazd Hollywoodu, bożyszcze niegdyś („X-27") jednej i drugiej półkuli.

Hej, łza się kręci..

Co tu ukrywać — fiasko zupełne. Takie dwa nazwiska werbować, aby powstało ckliwe melodramacisko, godne najgorszych romansów Zevaco? Ale my się czujemy po prostu oszukani! Bo jakże to w istocie: czy nazwisko do czegoś zobowiązuje, czy nie zobowiązuje?

Jedynie początek filmu zmontowany jest sensownie i po renéclairowsku: na falach niebardzo podłej rzeki Missisipi unosi się biała, muślinowa suknia ślubna. Przygodni rybacy odwożą ją uczestnikom ceremonii ślubnej, na próżno wyczekującym panny młodej. Utonęła, biedaczka. Taka młoda!

A na to speaker: „Ci goście weselni nigdy się już nie dowiedzą prawdy. Ale wy tę prawdę poznacie".

Te dwie minuty francuskiego esprit na sto minut drewnianej amerykańskiej piły o bankierach, marynarzach, kobietkach i kokietkach — to stanowczo za mało.

Swego czasu cała prasa francuska zgodnym chórem pomstowała na słynny układ, który za Oceanem zawarł Blum w sprawie hegemonii amerykańskiej na francuskim rynku filmowym. Wylewano łzy krokodyle, wylewano też rzetelne i uczciwe, pełne troski o produkcję rodzimą. Jean Louis Barrault miał nawet oświadczyć, że zamierza się teraz ubiegać o stanowisko kancelisty w fabryce konserw rybnych.

Jednego wszakże aspektu sprawy nie dojrzano. Oto kapitulacja Bluma przed Metro-Goldwyn-Meyerami, Paramountami czy Warner Brosami znakomicie utrudni trwałą repatriację René Clairów, Duvivierów i im podobnych. Znowu pociągną przez Wielką Wodę. Porwane magiczną siłą — no, wiemy i tak. Każdy musi z czegoś żyć.

We Francji René Clair nie odważyłby się nakręcić „Płomienia Nowego Orleanu".

Jerzy Płażewski

„Odwety" Leona Kruczkowskiego w Teatrze Polskim

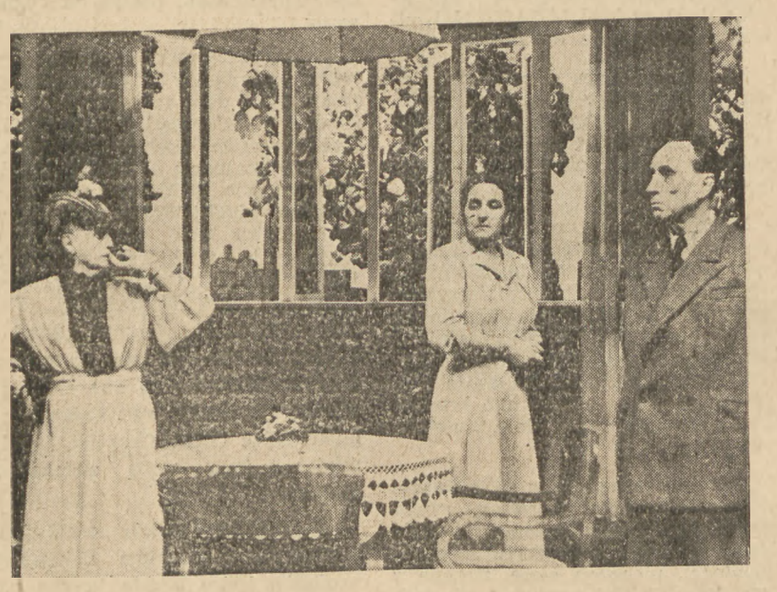

Scena (od lewej): M. Dulęba (Lemańska), Zofia Małynicz (Sabina), G. Buszyński (Jagmin).

Czy tępe „Szpilki"?

Dostało mi się w ostatnim numerze „Szpilek" za nagromadzenie w jednej z moich recenzyj teatralnych zbyt wielu cudzoziemskich wyrazów. Jest to dość zabawne, bo jakoś p. Szeląg nie zauważył, że właśnie jestem pisarką, która nie ma zwyczaju uczenie się wyrażać. Ale nie o tym chcę mówić. Chodzi mi o rzecz samą, co do której dyskusja wywołana artykułem Borejszy już przycichła, a do której, choć z opóźnieniem, chciałam dorzucić słów parę.

Artykuł Borejszy był słuszny. Istotnie naszym obowiązkiem jest pisać tak aby nas ludzie rozumieli. Nie jest to jednak kwestia cudzoziemskich wyrazów. Można w najczystszej polszczyźnie wyrażać się zawile, czczo i niejasno, jeżeli niejasno się myśli. Co zaś do owej cudzoziemszczyzny, którą się u nas tak tępi, chciałabym przytoczyć tu rozmowę z panią Joliot-Curie, która, jak wiadomo (albo i nie wiadomo) czytelnikom, rozumie bardzo dobrze po polsku.

Otóż pewnego dnia w Paryżu na jakimś śniadaniu pani Joliot, zwracając się do nas, Polaków, wystąpiła bardzo ostro przeciwko naszej terminologii naukowej opanowanej, jak twierdziła, najniesłuszniejszą manią polszczenia. Istnieje bardzo wiele pojęć stanowiących niejako własność międzynarodową i brzmiących jednakowo we wszystkich językach. Polszczenie ich według wielkiej uczonej to pewnego rodzaju objaw megalomanii narodowej i po prostu cudactwo. Wymieniła ona wówczas kilka terminów (czy i to słowo należy spolszczyć?) naukowych, z których pamiętam w tej chwili tylko jedno. „W całym świecie — mówiła pani Joliot-Curie — słowo to brzmi: radioaktywność, uzyskując tylko końcówkę właściwą danemu językowi. Tylko Polska wysiliła się na śmieszną i, jak mi mówiono, wcale nie dobrze po polsku brzmiącą: promieniotwórczość. Mogę czytać książki fizyczne w bardzo wielu językach tylko nie po polsku, ze względu na dziwaczną terminologię. Wasi studenci i naukowcy mają z pewnością utrudniony dostęp do literatury naukowej świata, dzięki temu, że powszechnie na całym świecie przyjęte słowa u nich brzmią inaczej. Czytając obce książki muszą się więc całej terminologii uczyć na nowo, do czego nie jest zmuszony członek żadnego innego narodu". Ta kwestia musiała jej bardzo leżeć na sercu, gdyż poruszała ją wielokrotnie w różnych okolicznościach, a zbyteczne będzie mówić, że głos tak genialnej osoby jest do rozważenia.

Na przykład w przypadku, który zarzuca mi p. Szeląg, psujący często wesoły urok „Szpilek" mentorskim i kaznodziejskim tonem. Gorszy się on, iż użyłam słów następujących: epigonizm, „genre rosse", naturalizm, fizjologia, simultaneizm (znaczenie tego słowa zaraz objaśniłam w nawiasie), skatologiczność, seksualizm, epatowanie... Jest tego sporo, ale zastanówmy się nad nimi kolejno. Mogłam oczywiście zastąpić słowo „epigonizm" — „schyłkowością", ale czy naprawdę powinniśmy się wyrzekać słowa „epigon" i czy właściwe będzie nazwać np. epigonów romantyzmu — schyłkowcami romantyzmu, przecież to nonsens. Ze wszystkich zacytowanych słów nie powinnam była użyć wyrazu „epatować" ale będę wdzięczna temu, kto wymyśli słowo inne na to miejsce. „Genre rosse"?—myślałam, jak to wyrazić po polsku, ale nie potrafiłam, a jednak taki rodzaj literacki istniał. A naturalizm, fizjologia, skatologia, seksualizm?... Nie bądźmy śmieszni. Jeżeli zaczniemy polszczyć te ogólnie na całym świecie przyjęte pojęcia rozgniewamy i ubawimy nie tylko panią Joliot, ale wszystkich rozsądnych ludzi. Są z pewnością czytelnicy, którzy pamiętają jeszcze przezabawny artykuł Boya o maniaku językowym Kurkiewiczu, który zapragnął spolszczyć całe słownictwo seksualne, przepraszam, płciowe, a kiedy nie znajdował odpowiedniego słowa, wymyślał je na poczekaniu, tak jak p. Szeląg chciałby abym ja uczyniła ze słowami „genre rosse" czy „epatować". Te bardzo mozolne usiłowania, którym Boy nadał należyty rozgłos, wywołały homeryczny wybuch śmiechu w całej Polsce. Czy mamy więc tworzyć nowe „kurkiewy", jak je nazwał autor.

Jasność pisania nie wyklucza użycia od czasu do czasu obcego słowa, które jest własnością całego świata kulturalnego albo stanowi odcień myśli nieznany w naszym języku. Oczywiście, nie należy ich nadużywać. Ale czasem, jak w wypadku Sartre'a, który, jak chciałam wykazać, jest niezbyt oryginalnym (znów obce słowo!) echem różnych prądów literackich nie miałam innego sposobu jak je wymienić. Polszczenie ich byłoby komiczne. Czyżby „Szpilki", które bardzo lubię i cenię, w tym wypadku niepojęcie stępiały?

Irena Krzywicka

Przed wystawą Picassa...

W związku z Kongresem Intelektualistów w Obronie Pokoju, który ma się odbyć 25 sierpnia we Wrocławiu otwarta zostanie wystawa obrazów Pabla Picassa, najwybitniejszego twórcy współczesnego malarstwa

rys. Jan Lenica

— Byłem właśnie na wystawie Picassa. Wspaniała!...

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura". Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 14,** dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przenosić na następny tydzień.

SZAFRANIEC

O ptakach na „ziemi ślężej" „pitpilita i pimpili" Tadeusz Szafraniec w artykule p.t.: „Auf den grynen Wize siedzi zając" („Odra", nr 24). Posłuchajmy:

— Ja i ty jesssteśśmy z-z-z jednej krwi! — obwoływał się stale w dżungli Kiplingowskiej Mowgli nie tylko na aktywie zwierząt, lecz i w samotnych wędrówkach po puszczy. Choć darł się na całe gardło, ludzie tego słyszeć nie mogli, gdyż mowa puszczańska, jak zapach kwiatów, nie dla ciebie stworzona, człowieku. Fale jej drgają poniżej skali głosów, uchwytnych dla gatunku zwanego homo sapiens, jeśli mają usłyszeć ją wilki czy inne czworonogi, lub powyżej, gdy się pragnie przemówić do nietoperzy, sępów czy innych gadzin latających, śpiewających.

Sypiąc perełkami stylu „puszczańskiego" w rodzaju: „Słowa po polsku nie poradzą wymówić", i „Jeśli ta spórka zaczyna się wcześnie...", albo: „Niemcy najsnadniej lubią obserwować ptastwo pod kątem krwiożerczości... (ptastwo!), lub: „jasna rozstrzeń pobliskich lip", autor kończy wreszcie swój śpiew tymi słowy:

Mitrężąc się nad wydobyciem normy zaufania zrozumiałem, dlaczego martwe natury w naszej plastyce operują, o ile o ptaki chodzi, prawie wyłącznie kanarkami lub papugami. Nie tylko dlatego, że plama barwna ptakiem zwana jest o wiele trudniej uchwytna na wolności niż obrus, widelec czy jabłko. Słyszę prawie jakim śmiechem zaryczałby Fałat lub jak syknąłby zjadliwie Wyczółkowski, gdyby im zaproponować pół godziny znieruchomiałości!! Może ktoś zauważyć, że od tego mamy fotografikę. No, tak fotografika jest, ale mody na gadziny śpiewające nie ma.

Nic nie zrozumieliśmy z tego felietonu, nieuchwytnego widocznie dla „gatunku zwanego homo sapiens". A ptaszki, zapytane przez nas o sens tych wypowiedzi, odparły: „Man kann singen, man kann tanzen, aber nicht mit den Szafrancen..."

DOKĄD JEDZIEMY?

Pod powyższym tytułem przynosi „Życie Warszawy" notatkę o Szczawnicy:

Szczawnica — to jedno z najpiękniejszych uzdrowisk, położone nad Dunajem, u podnóża Tatr.

Miejscowość ta odznacza się łagodnym klimatem podgórskim o jednostajnej ciepłocie rocznej. Znajduje się tam 7 źródeł wód kruszczowych.

Jednostajna ciepłota roczna nad Dunajem u podnóża Tatr — to więcej niż kruszecz, to skarb!

TYTUŁ

W „Słowie Polskim" czytamy:

O BOLĄCZKACH RZEMIOSŁA PRZY SZCZELNIE WYPEŁNIONEJ SALI

Frapujący tytuł referenta mgr. Chmielewskiego „Bolączki rzemiosła", spowodował, że sala odczytowa M.K. S.D. nie mogła pomieścić wszystkich przybyłych rzemieślników.

Tytuł referatu brzmiał: „Magister!"

UWAGA DZIEWCZĘTA!

W „Wieczorze" czytamy:

SERCA NA OŚCIEŻ

Wieś i osada polska musi mieć styczność z mundurem. Pragnieniu temu dają wyraz spojrzenia dziewcząt i tu, w Strzegowie, i w Bodzanowie i w innych miastach i osiedlach, które żołnierzy widują tylko przypadkiem. Siła munduru jest na prawdę niezwykła. Jeśli głosimy obecnie hasła „Naród z wojskiem", to hasła te najlepiej jest realizować poprzez umożliwienie ludności nawiązywania kontaktów z wojskiem.

To nie jest chyba trudne, tak zorganizować ćwiczenia, żeby trasa ich prowadziła przez jedną lub kilka wiosek. Zyskaliby na tym żołnierze, mając zapewnioną troskliwą opiekę, gdyż przy całej gościnności mieszkańców kult munduru otworzyłby na oścież wszystkie serca i drzwi.

Maszerują chłopcy przez wieś,
Oj dziewczyno nie ciesz się!
Długo nie zabawią,
pójdą i zostawią,
z żołnierzami już tak jest!

ARTYKUŁY SPOŻYWCZE

„Express Wieczorny" donosi:

W zakresie ważniejszych artykułów spożywczych przewidziany jest wzrost produkcji tkanin bawełnianych o 17 proc., wełnianych o 25 proc., jedwabnych o 26 proc. Produkcja skór twardych wzrośnie o 70 proc.

A stęskniliśmy się już za sznycelkami ze skóry twardej...

DWIE ZABAWY

Przysłano nam z Poznania fotografię, którą reprodukujemy poniżej:

Podobny nastrój panował, zapewne, na zabawie, urządzonej przez „Koło Kulturalno - Oświatowe przy Elektrowni" Wrocławskiej. Oto plakat reklamujący „Żywego trupa":

UWAGA UWAGA

ŻYWY TRUP

KOŁO KULTURALNO - OŚWIATOWE
PRZY ELEKTROWNI
urządza

w dniu 6 czerwca 1948 r. o godz. 15
W ogrodzie przy własnej świetlicy
ul. Łowieckiej 25

WIELKĄ ZABAWĘ LUDOWĄ

z następującym programem:

1) Fenomenalny człowiek o dwóch sercach po powrocie z zagranicy, po raz pierwszy w Polsce pozwoli się zakopać na głębokość dwóch metrów na przeciąg jednej godziny. Mogiła do oglądania od godz. 15—17.
2) Ponadto inne atrakcje jak: Wyścigi w workach, bicie garnków, koło szczęścia i wiele, wiele innych niespodzianek.

W razie niepogody, FESTYN odbędzie się na dużej sali balowej. — Przez cały czas przygrywać będzie do tańca doborowa orkiestra własna.

Bilety wstępu: Normalne 100 zł.
Pracownicy Elektrowni 50% zniżki.
Początek zabawy o godz. 15.

Bufet przy niskich cenach obficie zaopatrzony.

Dojazd tramwajami 1, 2, 8 i 10.

„Mogiła — czytamy w plakacie — do oglądania od godz. 15 — 17".

Co to ma wspólnego z kulturą i oświatą, pozostanie tajemnicą kierownictwa świetlicy przy ul. Łowieckiej we Wrocławiu.

JESZCZE O SZNYCLACH

W „Dzienniku Bałtyckim" znajdujemy następujące ogłoszenie:

UWAGA! UWAGA!

Chcesz zjeść dobrze
przyjdź do
Klubu Partyzantów

SOPOT. POWSTAŃCÓW WARSZAWY 9 — róg Morskiej. **Otwarcie 5 czerwca.**

Czyli: Przez serca do żołądków!

Korespondencja

CZYŻBY FRYDERYK MISTRAL ZMARTWYCHWSTAŁ?

Do redaktora „Odrodzenia"

W zakończeniu artykułu o pisarzu brazylijskim Jorge Amado („Odrodzenie" nr 25) wydrukowano takie zdanie:

„Laureat nagrody Nobla, poeta francuski Fryderyk Mistral, zaznajomiwszy się z twórczością Amado napisał: „Jest to największy powieściopisarz współczesny nie tylko Brazylii, lecz całej Ameryki Łacińskiej".

Być może, ale że z twórczością tego powieściopisarza zapoznał się właśnie Fryderyk Mistral, to już nieprawda. Gdy tenże Mistral umierał, Amado (ur. 1912) kończył dopiero 2 latka i nie śniło mu się jeszcze o pracy pisarskiej. Wspomniany Fryderyk Mistral (1830—1940), laureat Nobla z 1904 roku, poznał więc twórczość Jorge Amado zapewne w niebie, naturalnie o ile się tam od razu dostał. Stamtąd też, oburzony nieporozumieniem, woła do autora powyższego zdania: „Do „Camery" z nim!"

Michał Witkowski
(Poznań)

OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS

CENA TOMIKU 15 ZŁOTYCH

DOC. DR KAZIMIERZ GUMIŃSKI

JAK ZWAŻONO POWIETRZE

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KIOSKACH I KSIĘGARNIACH

REDAGUJE ZESPÓŁ Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 40.180-90 wewn 22 — Redaktor przyjmuje od g. 9 do 10. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, tel. 87-112 Konto w PKO nr I-4739
Drukarnia nr 2 „Czytelnik" Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-556 6 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"